

PARA

LUBLIN 1918-2018 NR 1 INSPIRUJE NAS WOLNOŚĆ

OSRODEK BRAMA GRODZKA TEATR NN.PL

TEATRNN.PL/PARA

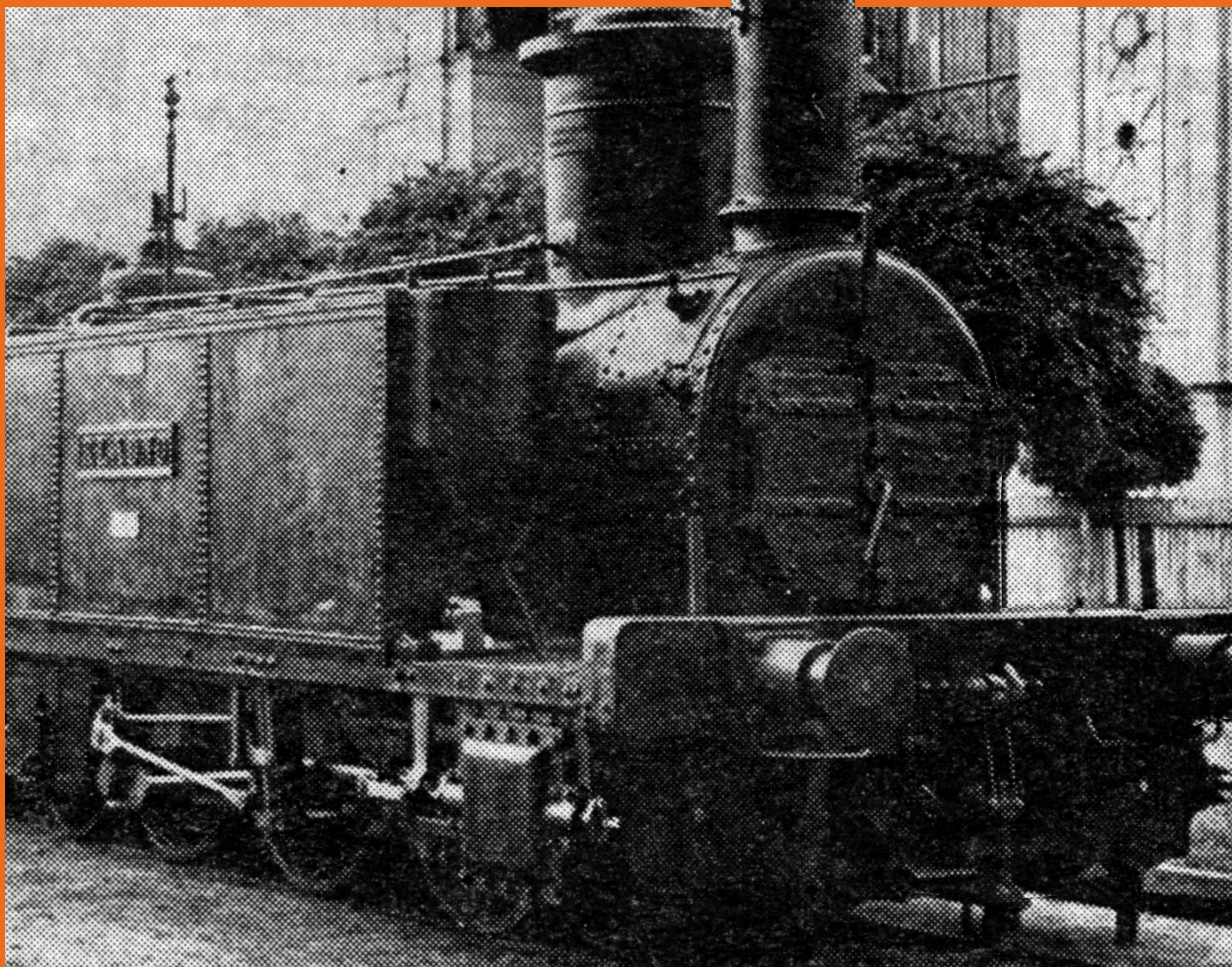
23 | 2018

4 Kto pokonał Supermana?

6 Miasto aspiracji

10 Czy patriota śpi w pościeli z orłem?

Graffiti po prostu się to robi 11





fot. Jacek Mirosław, Lublin, lata 70.

100 lat temu, w listopadzie 1918 roku, Polska odzyskała niepodległość. Patrząc z perspektywy lat mijających od tamtej chwili widzimy, że weszliśmy wtedy w jeden z najważniejszych historycznych okresów w dziejach naszego kraju. W ciągu tych 100 lat Lublin wielokrotnie zaznaczył swoją obecność w zachodzących wydarzeniach. Jest czymś niezwykle interesującym zobaczyć, jak rodziło się państwo u samych jego podstaw – w codzienności i zaangażowaniu zwykłych ludzi.

Gdy patrzymy na historię ostatnich 100 lat w Lublinie widzimy, że miasto rozsądzała jakaś wielka energia jego mieszkańców do stania się wolnymi ludźmi. Tu naprawdę czuło się ciśnienie wolności. Miasto było „pod parą”. Stąd pomyśl, żeby o tym wszystkim opowiedzieć i pokazać nasze miasto na tle Wielkiej Historii. Będziemy tworzyć też opowieść wykorzystując do tego specjalnie wydawaną gazetę „PA.RA”.

Opowiemy w niej nie tylko o okresie międzywojennym (1918-1939) w Lublinie, ale też o czasach II wojny światowej i PRL-u.

✻

Na samym początku tego okresu przez 20 lat istniała niepodległa Polska. Jest czymś nadzwyczajnym, jak Polacy wykorzystali tych 20 lat wolności, odbudowując zniszczony i podzielony przez zaborców kraj. To pokazuje, czego mogą dokonać ludzie, kiedy

stają się wolni. To, co zostało zrobione przez 20 lat niepodległości, pozwoliło nam przetrwać czas, kiedy znów – w 1939 r. – na wiele lat przestaliśmy być wolnym krajem.

Opowieść o 20-leciu międzywojennym jest opowieścią o wolnych ludziach, których aktywność przekształcała autentyczny duch wolności. To dzięki nim „mieli parę” i „ciśnienie” do tego, żeby realizować marzenia i zmieniać świat. To ta „para” do wolności napędzała ich i dawała im energię. W nowej sytuacji – po odzyskaniu niepodległości – kraj potrzebował obywateli, ludzi gotowych do podjęcia wielkiego wysiłku odbudowy państwa. Dla Lublina szczególnym symbolem odradzającej się Polski są trzy niezwykły, genialni twórcy stąd pochodzący: Józef Czechowicz (1903-1939), Zygmunt Puławski (1901-1931) i Józef Szanajca (1902-1939). Nigdy w historii miasta nie zdarzyła się konstelacja osób o podobnych tak wielkim talentach, jak oni. Talentami, któ-

re mogły rozkwitnąć w wolnej Polsce. Wszyscy oni urodzili się w Lublinie. Tu dojrzewali i tu chodzili do szkół. Wszyscy trzej byli zaangażowani w odzyskanie niepodległości, brali udział w wojnie polsko-rosyjskiej a następnie budowali wolną Polskę. Dwóch z nich – Czechowicz i Szanajca – zginęło w kampanii wrześniowej 1939 r. Bez takich ludzi, jak oni, bez ich determinacji, poświęcenia i siły charakteru, Polska nie odzyskałaby niepodległości a następnie nie zostalaby odbudowana.

2

Kolejny okres to czas II wojny światowej i okupacja. Polska jako państwo przestała istnieć, powstało natomiast Polskie Państwo Podziemne, w dużej mierze oparte na konspiracyjnych strukturach Armii Krajowej. To w jego ramach działało tajne nauczanie z jego cichymi bohaterami: nauczycielami i uczniami, czy też podziemne harcerstwo, kolejna bohaterska karta zmagania o wolną Polskę.

Następnie kartę wiąże się z przejęciem władzy przez komunistów i czas PRL-u. Tradycja działań wolnościowych w Lublinie w okresie PRL-u związana jest m. in. z powstaniem w Lublinie, w 1976 roku, pierwszej w Polsce w okresie komunizmu podziemnej drukarni. Działala ona w środowisku studentów KUL wydających poza cenzurą pismo „Spotkania”. Wspomnijmy też o „przestrzeniach wolności” tworzonych przez lubelskich artystów: teatrach alternatywnych, Grupie „Zamek”, Galerii BWA.

Łublin ma również swój ważny udział w niezwykłym, wolnościowym zrywie polskiego społeczeństwa latem roku 1980. Stąd ruszyła przez całą Polskę wielka fala strajków zakończona narodzinami „Solidarności” w Gdańsku, w sierpniu 1980 roku. Symbolem lubelskich protestów stał się strajk kolejarzy związany z legendą o unieruchomionej lokomotywie. To tak jakby metafora miasta „pod parą” – szukającego swojej drogi do wolności – zmaterializowała się w tej opowieści. Jest w tej historii energia i siła, które za chwilę zamieniają się w ruch pędzącego w kłębach pary parowozu – do wolności z napisem „Solidarność”, do wyborów 4 czerwca 1989 roku, kiedy znów staliśmy się wolnym krajem. Chcemy o tym wszystkim opowiedzieć. Zabrać Czytelników gazety w niezwykłą i pasjonującą podróż po historii miasta, w którym żyła.

Chcemy w tej gazecie wskazać i pokazać „ducha wolności”, jaki panował w Lublinie przez ostatnich 100 lat. To dzięki niemu wielu młodych ludzi tu mieszkających „miało parę” i „ciśnienie” to angażowania się w ważne sprawy, ale też realizowania swoich marzeń i zmieniania świata. Dlatego częścią tej opowieści będzie również pokazanie tych, którzy dzięki odzyskanej w 1989 roku wolności mogli rozwinąć skrzydła i dokonać wspaniałych rzeczy. Dla nich i dla Was stało się to czymś naturalnym i oczywistym. Ale pamiętajmy, duch wolności jest wyjątkowo kruchy, delikatny, niewidoczny i bardzo łatwo go utracić.

Tomasz Pietrasiewicz
dyrektor Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”

POSZUKAJCIE SWOICH BOHATERÓW WOLNOŚCI



iedy o skandalu, jaki wywołali w Lublinie w 1921 r., pisał nawet New York Times i paryska „La Vie des Lettres”, byli bardzo młodzi. Pierwszy z nich, Konrad Bielski, miał zaledwie 19 lat. Drugi, Wacław Gralewski, niewiele więcej, bo 21. Chodziło o pismo „Lucifer”, które założyli. Już sama nazwa była prowokacją, ale to zamieszczony w nim wiersz „Dytyramb szatański” przesądził o tym, że policja skonfiskowała praktycznie cały nakład. Jedynie 100 egzemplarzy ukrył drukarz.

Jedenaście lat później ten sam Konrad Bielski, tym razem w roli adwokata, przed sądem bronił innego skandalisty – Józefa Łobodowskiego. Konfiskaty jego tomiku poezji „O czerwonej krwi” zażądał prokurator. Więzienia Łobodowskiemu udało się wprawdzie uniknąć, ale z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, gdzie studiował, został wydalony. W dodatku rektor wysłał do pozostałych polskich uniwersytetów informację o tym, że Łobodowski został relegowany za „szerzenie pornografii i bluźnierstwa w wydanych przez siebie utworach poetyckich, skonfiskowanych przez władze prokuratorskie”. Takich niesamowitych historii o Lublinie i ludziach, którzy tworzyli to miasto, mamy do opowiadzenia znacznie więcej i chcemy, by PA.RA była miejscem,

gdzie będziemy o nich przypominać. Ale bardzo zależy nam też na tym, by podczas świętowania niepodległości w 2018 r. i przypominania wielkich wydarzeń oraz wielkich nazwisk, nie zabrakło też tych cichych, często zapomnianych bohaterów, którzy budowali wolny kraj.

O czym będziemy opowiadać? Jednym z problemów, jakiemu Polska musiała stawić czoła w dwudziestolecie międzywojennym, był wielki głód mieszkaniowy. Robotnicze rodziny żyły w skrajnej nędzy. Lekkiem miały być spółdzielnie mieszkaniowe, które w latach 20. XX w. zaczęły powstawać w całej Polsce. W Lublinie szczególnie miejsce zajął „Spółdom”, duma lewicowych środowisk żydowskich. Dwudziestolecie międzywojenne to też czas walki z analfabetyzmem. Tu wyłania się m.in. postać Józefa Kunickiej, nauczycielki i miejskiej radnej. Świat nauczycieli reprezentowała też na przykład Helena Czerniecka, która w pałacu Sobieskich przy ul. Bernardyńskiej, prowadziła Prywatne Gimnazjum Żeńskie. Na marginesie, jedną z absolwentek tej szkoły była Anna Sierzpuńska-Zborowska, modelka samego Amedeo Modiglianego. Zapomnianych, niedocenionych bohaterów polskiej wolności, których chcemy przybliżyć, jest dużo więcej. Z pewnością także w rodzinach, do których trafi P.A.R.A. Chętnie będziemy publikować także i ich historie. To może być opowieść o lekarzu, który w latach 80. budował ośrodek zdrowia lub społeczniku zakładającym bibliotekę. Czekamy też na zdjęcia z rodzinnymi albumami ilustrującymi historię polskiej niepodległości.

Gazeta PA.RA będzie dostępna we wszystkich liceach i na uczelniach, a także w instytucjach kultury, bibliotekach i wybranych restauracjach i kawiarniach. Czytać można ją również w Internecie na stronie teatrnn.pl/para
Opowieści i zdjęcia można wysyłać na adres: para@tnn.lublin.pl

Małgorzata Domagała



Karykatury (od góry)
Wacława Gralewskiego
i Konrada Bielskiego,
rys. Henryk Donga

**KAŻDY
CZŁOWIEK
JEST HISTORIA**

WIELKA KSIĘGA NIEPODLEGŁOŚCI

LUBLINIANIE, OTWÓRZCIE
SWOJE RODZINNE ARCHIWALIA!
Z PRZESŁANYCH PRZEWAS
ZDJĘĆ I INNYCH MATERIAŁÓW
ARCHIWALNYCH STWORZYM
KSIĘGĘ, KTÓRA UPAMIĘTNI
100-LECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI
PRZEZ POLSKĘ.

Na skany Waszych
archiwaliów czekamy
pod adresem
pa.ra@tnn.lublin.pl
Więcej informacji na stronie
teatrnn.pl/para/ksiega

WOLNA POLSKA ZACZĘŁA SIĘ W LUBLINIE

3

Listopad 1918 roku musiał być niesamowitym przeżyciem dla Polaków. Na ich oczach w ciągu kilku dni upadły wielkie mocarstwa, które od lat zniewalały Polskę. Wydawało się, że nie ma rzeczy niemożliwych. Marzenia polskich pokoleń, które próbowano zrealizować w epoce napoleońskiej, a potem za sprawą powstań narodowych, nagle się ziściły. Lublin siedzibą rządu niepodległej Polski. Był to trochę zbieg okoliczności, ale też świadomy wybór ludzi, którzy powołaniem niezależnego ośrodka władzy chcieli potwierdzić wolnościowe i demokratyczne aspiracje Polaków. Miasto było jak ówczesna Polska w pigułce: z przebogatą historią, obciążone ciężarem bardzo trudnych lat obcej władzy, wielonarodowe, wieloreligijne, z ogromnymi aspiracjami. W Lublinie były prężne środowiska inteligenckie, wśród których dużą rolę odgrywały kobiety. To w rządzie

„Lubelskim” znalazła się Irena Kosmowska jako wiceminister informacji i propagandy. Gdy w Warszawie rządili jeszcze Niemcy, w Lublinie powstawał załążek nowej wolnej, demokratycznej Polski dążącej do sprawiedliwości społecznej dla wszystkich mieszkańców niezależnie od pochodzenia, płci, czy wyznawanej religii. Niesamowite dni pełne uniesienia i wiary w to, że niepodległa Ojczyzna będzie nowoczesnym krajem. Moje pokolenie znalazło się w podobnej euforii na początku lat 80. Najpierw papieżem został kardynał Karol Wojtyła, jako Jan Paweł II w 1979 roku przyjechał do Polski i zobaczyliśmy na własne oczy, że Polacy masowo słuchają jego słów, a nie komunistycznej propagandy. Rok później, najpierw w lipcu w Lublinie i w Świdniku, a potem w sierpniu na Wybrzeżu robotnicy rzucili wyzwanie totalitarnemu systemowi.

Doskonale pamiętam tę niepowtarzalną atmosferę. Uniesienie, wzruszenie i pewność, że jeśli jesteśmy razem, to władza nie stłamsi tego wielkiego społecznego ruchu dążącego do wolnej i demokratycznej Polski. Wtedy usłyszałem po raz pierwszy o Andrzeju Sokółskim, pracowniku WSK Świdnik, który stał się jednym z liderów strajku w tym zakładzie oraz „podziemnej” Solidarności w stanie wojennym, a także kierując Komitetem Obywatelskim tworzył pierwsze władze samorządowe Świdnika, gdzie miałem zaszczyt z nim współpracować. Zawsze skromny, unikający wielkich zaszczytów i apanaży. Gdy uznał, że czas ustąpić miejsca w życiu publicznym innym po prostu przeszedł na emeryturę, choć do dziś troszczy się o to, co dzieje się w Polsce. W duchu tej wieloletniej tradycji Lublin ma szczególne prawo do mówienia o niepodległości i jej świętowania. W sposób szczególnie chcemy zwracać

uwagę na zjawiska, które rozpoczęły się w naszym mieście, a następnie miały wpływ na ruchy niepodległościowe w całej Polsce. Dlatego mówimy nie tylko o 100-leciu odzyskania niepodległości, które symbolicznie rozpoczęło się w Lublinie pracami Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej, ale także późniejszych wydarzeniach, które początkowały procesy wolnościowe w Polsce, jak powstanie KUL-u i działalność środowisk z nim związanych, prasa podziemna, czy Lubelski Lipiec '80. Stąd hasło obchodów: Lublin 1918-2018. Inspiruje nas wolność. Tegoroczne obchody Lublin chce świętować z dumą i radością. Będzie to czas twórczego, artystycznego odnoszenia się do najważniejszych wydarzeń minionego stulecia, dzięki którym przybliżymy mieszkańcom historię Lublina oraz będziemy budować nowoczesny patriotyzm i miłość do miasta.

prezydent Lublina Krzysztof Żuk

ENTUZJAZM TRUDNY DO OPISANIA

Miasto nad Bystrzycą urosło do rangi drugiego po Warszawie centrum politycznego Kongresówki. Nic więc dziwnego, że przygotowujący przejęcie władzy politycy lewicy niepodległościowej wybrali Lublin, w którym cieszyli się silnym poparciem.

30 lipca 1915 roku o godzinie 7 rano ostatni gubernator rosyjski Ilja Sterligow wraz z policją opuścił Lublin. Do miasta wkroczyli ułani pod dowództwem por. Juliana Ostoi-Zagórskiego, który zarekwirował klucze do pałacu gubernatorskiego. Około godz. 13.30 pojawił się szwadron „Beliniaków” 1 Pułku Ułanów Legionów Polskich pod dowództwem porucznika Gustawa Orlicz-Dreszera. Wieczorem miasto zostało zajęte przez oddziały nowych okupantów: Niemców i Austro-Węgrów.

* Władze okupacyjne prowadziły politykę rabunkową doskwierającą Radzie Miasta i mieszkańcom. Równocześnie Lublin stał się „stolicą” okupacji austriackiej, siedzibą austro-węgierskiego Generalnego Gubernatorstwa Wojskowego w Polsce. Zjechały rzesze urzędników w wojskowych mundurach, Lublin nabrał charakteru „małego Wiednia”. Z elegancją Krakowskiego Przedmieścia, z gustownymi wiedeńskimi drobiazgami, strojami i kapelusami w sklepach, kontrastowała sytuacja zwykłych obywateli, którzy mówili: „Za cara Mikołaja była kielbasa i jaja, a za cesarza Franciszka nie ma co włożyć do pyska”.

Pełną parą szła działalność stronnictw politycznych, w której aktywnie uczestniczyli mieszkańcy. Manifestacje odbywały się z okazji obchodów rocznic narodowych. Pozwalało sobie nawet na jawnie antyokupacyjne wystąpienia, jak kilkunastotysięczny wiec po aresztowaniu Józefa Piłsudskiego. Sam przywódca orientacji niepodległościowej kilka razy był w Lublinie, podobnie jak inne wybitne postacie polskiego życia publicznego. Miasto nad Bystrzycą urosło do rangi drugiego po Warszawie centrum politycznego Kongresówki. Nic więc dziwnego, że przygotowujący przejęcie władzy politycy lewicy niepodległościowej wybrali Lublin, w którym cieszyli się silnym poparciem.

* Wydarzeniem było ogłoszenie w Lublinie aktu 5 listopada 1916 roku. Były to tak samo brzmiające manifesty dwóch cesarzy: austro-węgierskiego Franciszka Józefa I i niemieckiego Wilhelma II, w których zapowiadali utworzenie z ziem polskich odebranych Rosji samodzielnego państwa. Uroczystości odbyły się w siedzibie gubernatorstwa przy placu Litewskim (obecnie mieści się tu Wydział Politologii UMCS). Dokument w języku niemieckim odczytał gubernator Karl Kuk, po polsku – Jerzy Madejski, szef cywilnego austro-węgierskiego Generalnego Gubernatorstwa. W cieniu wielkiej polityki toczyło się życie miasta. Pierwsze wybory do Rady Miejskiej odbyły się między 10 a 18 grudnia 1916 roku. Radni na prezydenta

wybrali Wacława Bajkowskiego. Po traktacie brzeskim Rada Miasta wypowiedziała posłuszeństwo austriackiemu gubernatorowi, odmówiła zapłacenia kary finansowej w konsekwencji czego została rozwiązana 28 marca 1918 roku. We wrześniu odbyły się kolejne wybory.

* 3 listopada 1918 roku generalny gubernator Anton Lipošćak przekazał pełnię władzy na terenach okupowanych Radzie Regencyjnej, organowi władzy państwowej w Królestwie Polskim, powołanej przez niemieckie i austro-węgierskie władze okupacyjne. 7 listopada 1918 roku powstał Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej z premierem Ignacym Daszyńskim, politykiem socjalistycznym, zwolennikiem ruchu niepodległościowego kierowanego przez Józefa Piłsudskiego. Na ulicach Lublina rozwieszono „Manifest do Ludu Polskiego”, w którym m.in. wprowadzono republikański ustrój państwa, równouprawnienie obywateli, pięcioprzymiotnikowe prawo wyborcze, „wolność sumienia, druku, słowa, zgromadzeń, pochodów, zrzeseń, związków zawodowych i strajków”, a także ośmiodzinny dzień pracy. Lublinianie w wielotysięcznej manifestacji wyrazili poparcie dla nowo powstałej władzy. Na placu przed katedrą odbyła się uroczystość zaprzysiężenia oddziałów wojskowych złożonych z różnych formacji: Polskiej Organizacji Wojskowej, Polaków – byłych żołnierzy austriackich, Dowborczyków, Milicji Ludowej. Nad zebranymi powiewały sztandary wojskowe,

czerwone sztandary PPS i białoczerwone flagi. Prasa pisała: „Entuzjazm trudny do opisanja ogarnął tłum, gdy rozpoczął się obrzęd przysięgi”.

Łukasz Kijek



Ignacy Daszyński [domena publiczna]

Widok ogólny z Wieży Trynitarzkiej, fot. Jan Bulhak, 1924 r.



KTO

POKONAŁ SUPERMANA?

HISTORIA ŻYDOWSKIEGO SIŁACZA

W Ameryce bił wszelkie rekordy popularności. Niektórzy twierdzą, że podczas występów w Nowym Jorku zainspirował rysowników, którzy stworzyli wzorowaną na nim postać Supermana. W 1925 roku dał charytatywny pokaz w lubelskim kino-teatrze „Rusalka” wspierając żydowski szpital

Jak w przypadku wszystkich herosów, szczegóły narodzin Zygmunta Breitbarta owiane są tajemnicą. Jedni mówią, że przyszedł na świat pod koniec XIX wieku w maleńkim Strykowie, inni, że w Łodzi, gdzieś na ulicy Drewnowskiej, w samym środku żydowskiego kwartału. Prawdziwym miejscem narodzin Breitbarta była jednak kuznia jego ojca, w której ten niebieskooki, kędzierzawy blondynek przeistoczył się w Herkulesa. Już jako sześciolatek dziecko chwycił za ciężki młot i wykuł pierwszą podkowę. Wtedy to właśnie ujarzmił ognisty żar i zwyciężył nad żelazem. W dzieciństwie miał zresztą dokonać wielu innych czynów, które opiewano potem w jego biografiach. Pewnego razu, zirytowany słowami nauczyciela, kopnął jego stół tak mocno, że ten rozleciał się na kawałki. Zamożnym dzieciom zabierał śniadania i rozdawał je pośród ubogich kolegów. Kiedy pewien bogacz przekupił stróża, który miał dać Breitbartowi naukę, mały Zygmunt pobił stróża tak mocno, że ten przez dłuższy czas nie mógł wstać z łóżka. Wystarczyła drobna zaczepka i posyłał kolegów prosto do ambulatorium. Za demonstrowanie fizycznych możliwości wyrzucano go z kolejnych chederów i z czasem wrócił do ojcowskiego warsztatu. Całymi dniami kuł gorące żelazo, którego nie mogły już dźwignąć słabnące ręce rodzica. Z każdym uderzeniem młota przybywało mu sił i dyscypliny, aż w końcu okiełznał i wykuł sam siebie.

TRZYMAŁ MOST Z SAMOCHODAMI

Kiedy wybuchła I wojna światowa, Breitbarta wcielono do armii rosyjskiej. Na froncie miał służyć w oddziale artyleryjskim, gdzie wykazywał się męstwem godnym co najmniej Achillesa. Pewnego razu – czytamy w legendzie Breitbarta na łamach lwowskiej „Chwili” – kiedy cały jego oddział padł pod kulami wroga, sam obsługiwał armatę. Dopiero znaczna przewaga sił i kolejne fale niemieckich żołnierzy zdołały wziąć go w niewolę. W obozie jenieckim ćwiczył się w boksie i zapasach, a kiedy wojna dobiegła końca został w Republice Weimarskiej. Występował w podrzędnych kabaretach lub na ulicach, aż w końcu uśmiechnął się do niego los. Dyrektor znanego niemieckiego cyrku dostrzegł w nim potencjał i zaangażował do pracy. Rozpisano mu rolę i program – ze zwykłego siłacza przeistoczył się w króla żelaza. Podczas występów owijał sobie żelazo wokół ręki jak sznurek, rozgryzał stalowe łańcuchy i gwoździe albo kładł się na desce nabitej ćwiekami, podczas gdy na piersiach rozbijał no mu głazy. Grube druty żelazne gnił bez wysiłku w kwiaty, prostował podkowę i unosił najbardziej niemożliwe ciężary. Podczas występu nazywanego „Mogiłą Herkulesa” trzymał na piersiach most, po którym przejeżdżały samochody i paradowały wielkie zwierzęta. Innym razem podtrzymywał gigantyczną karuzelę, po której jeździli motocykliści. Przy tym nosił się jak rzymski centurion, a na scenę wjeżdżał rydwanem zaprzęgniętym w białe konie przy akompaniamencie trąb. Innym razem pojawiał się półnagi, owinięty skórą lamparta lub w stroju prostego kowala. Jego występom towarzyszyły insygnia cesarzy, ale i gwiazda Dawida lub syjonistyczna niebiesko-biała flaga. Na scenie zamieniał się w przedziwny splot żydowskiego Dionizosa z germańskim królem Dawidem, więc szaleli za nim Niemcy i Austriacy, którzy w jego muskułach widzieli chwałę swoich niedawnych imperiów, ale i Żydzi, jego rodacy, dla których był wcieleniem Samsona i wzorem silnego Żyda. On sam zresztą ów obraz żydowskiego mocarza nieustannie umacniał, co padało na bardzo podatny grunt ówczesnego

syjonizmu. „Jeszcze nie wygaś szczep Jehudy” – komentowali jedni, a drudzy dodawali: „Gdyby tylko znalazło się tysiąc Breitbartów, to skończyłby się prześladowania”.

RYSY RUDOLFA VALENTINO

Breitbart odnosił triumfy w całej Europie. W końcu zjawił się także w Ameryce, gdzie jego popisy miały bić wszelkie rekordy popularności. Niektórzy twierdzą, że podczas występów w Nowym Jorku zainspirował rysowników, którzy stworzyli wzorowaną na nim postać Supermana. Trudno powiedzieć, ile w tym prawdy, ale wizytę w Ameryce wykorzystał do cna. Poza występami firmował swoim nazwiskiem podręcznik dla początkujących siłaczy, korespondencyjny kurs budowy muskulatury oraz „Aparat Breitbarta”, przyrząd do ćwiczeń budujący mięśnie ze stali. Jeździł również po Polsce, a w końcu zjawił się także w Lublinie, gdzie 27 maja 1925 roku dał w kino-teatrze „Rusalka” występ charytatywny na rzecz szpitala żydowskiego z ul. Lubartowskiej. Breitbart słynął zresztą podobno ze swojej dobroczynności i chętnie wspierał szlachetne inicjatywy. Jego żydowskie imię Zisze znaczy tyle, co słodki albo po prostu słodziak. I rzeczywiście, nie był ulepiony z dziegldzi. Mimo wielkiej siły odznaczał się życzliwym usposobieniem, był zaskakująco drobnej budowy, a jego łagodne rysy porównywano do rysów Rudolfa Valentino. Nic dziwnego, że wkrótce wyrósł na ikonę seksu. W marcu 1925 roku na łamach warszawskiego dziennika żydowskiego „Der Moment” zamieszczono rysunek satyryczny zatytułowany „Nowa epidemia”. W kolejce do rabinów ustawia

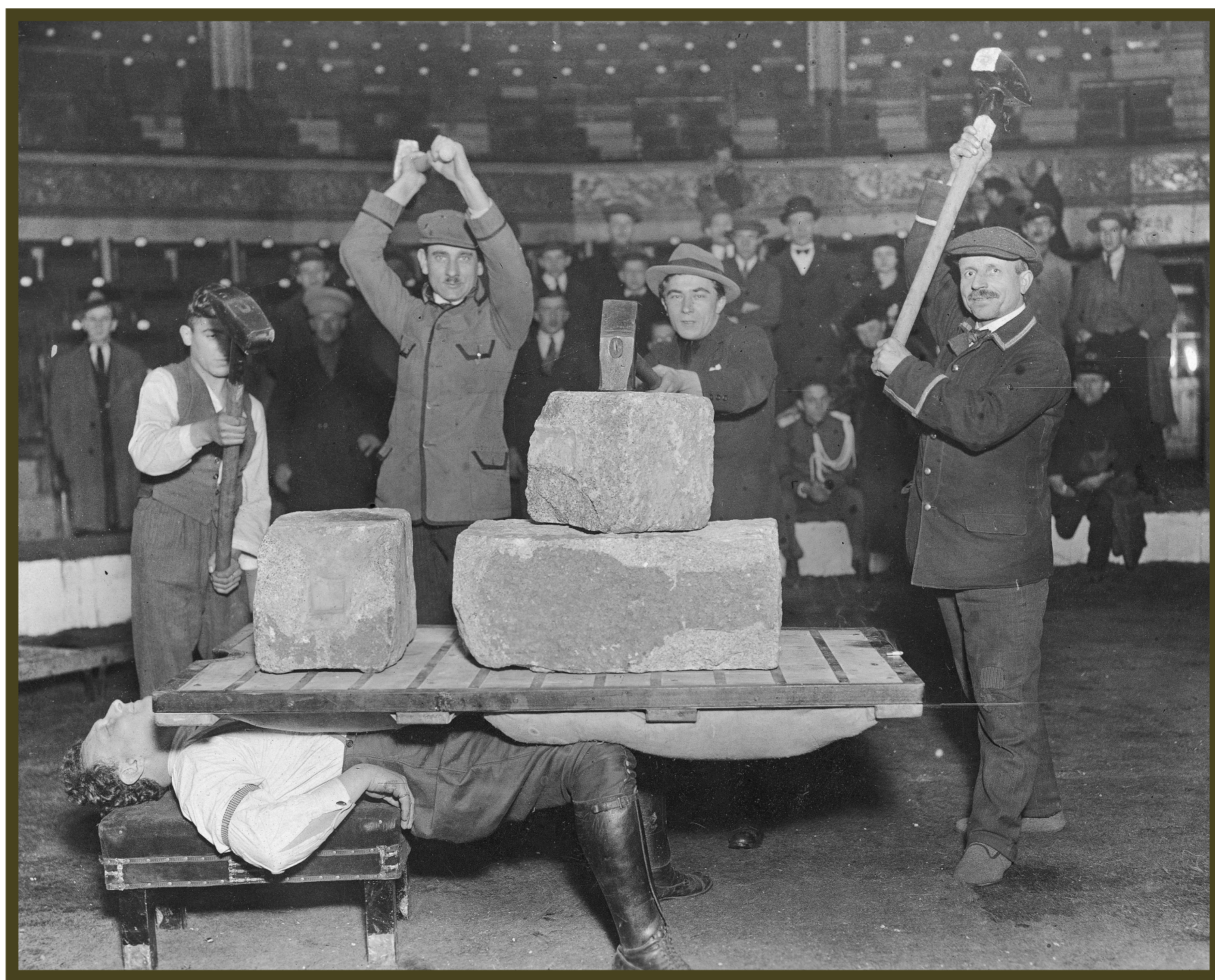
się cały rząd kobiet, ciągnących za sobą swoich mężów. „Czego chcesz?” – pyta rabin, na co kobieta odpowiada: „Rozvodu. Od kiedy widziałam w cyrku Breitbarta nie mogę już patrzeć na mojego nieudacznika”. Na innym rysunku Breitbart i ówczesny premier Władysław Grabski zgodnie opróżniają kieszenie warszawiaków. „Dojść!” – mówi Breitbart, a Grabski dodaje: „Ja też”.

Dzięki swojej popularności i występom na całym świecie Breitbart zdobył rzeczywiście niemały majątek. Stać go było na rezydencję pod Berlinem i bardzo wygodne życie. Zagrał sam siebie w dwóch austriackich filmach, był bohaterem książek, rytmowanek i piosenek, a o jego życiu powstała nawet sztuka w jidysz.

KRÓL ŻELAZA KONTRA ILUZJONISTA

Jednak popularność przysparzała mu nie tylko wielbicieli, ale także wrogów i nienawistników. Wśród antysemitów, którzy nie mogli znieść jego żydowskości, zdarzali się i twardzi przeciwnicy, a największym z nich był Erik Jan Hanussen. Ten przedziwny austriacki mag i iluzjonista sam sobie przypisywał duńskie szlachectwo, chociaż w rzeczywistości był wiedeńskim Żydem, starającym się za wszelką cenę ukryć pochodzenie. Swoje szczególne moce miał odkryć podczas I wojny światowej w Bośni, gdzie za pomocą różdżki odnajdywał z powodzeniem wodę dla armii. Po wojnie zyskał pewną sławę dzięki serii seansów dla ówczesnej arystokratycznej elity, ale gwiazda Breitbarta wyraźnie raziła go w oczy. Król żelaza był wówczas ulubieńcem całego Wiednia, miasta wygłodniałego

rozrywki i zapomnienia po upokarzającej klęsce w niedawnej wojnie. Hanussen próbował początkowo ogrzać się w jego blasku i proponował Breitbartowi wspólne występy. Gdy ten odmówił, wystąpił przeciwko niemu publicznie, twierdząc, że wszystkie jego sztuki są mistyfikacją, a gięte przez niego żelazo puste w środku. Breitbart długo ignorował zarzuty, a publiczność pozostawała niewzruszona, więc Hanussen ukuł intrygę innego rodzaju. Rozpuścił w całym Wiedniu nowinę, że dzięki jego mocom telepatycznym wątle 18-letnie dziewczę nazwiskiem Marta Farra będzie w stanie powtórzyć wszystkie popisy Breitbarta. Pierwsze pokazy iluzjonisty i jego asystentki zebrały gorące owacje, a wiedeńczycy podzielili się na dwa wrogie stronnictwa. Breitbart odmówił bezpośredniej konfrontacji, ale ogłosił, że wielkie ciężary, które Farra dźwigała ze zdumiewającą łatwością, były w rzeczywistości podwieszane na niewidocznych linach, a łamane przez nią łańcuchy specjalnie sfałszykowane. Publiczność uwierzyła sławie Breitbarta, król żelaza po raz kolejny triumfował, a upokorzony Hanussen musiał na jakiś czas zniknąć ze sceny. Ten ekscentryczny iluzjonista dał jednak jeszcze o sobie usłyszeć. Po kilku latach swoim światłem podzieliło się z nim widmo naziizmu, którego stał się szczerym lub koniunkturalnym wyznawcą. Miał utrzymywać bardzo bliskie stosunki z wysoko postawionymi nazistami, a nawet z samym Adolfem Hitlerem, z którym odbywał podobno prywatne seanse magiczne i którego uczył technik oczarowywania mas. Czarna gwiazda Hanussena zgasła po pożarze Reichstagu, „przewidzianym” przez współpracującą z nim medium. Kontaktując się z wysoko postawionymi nazistami, prawdopodobnie



Siłacz Zigmunt Breitbart podczas występu w cyrku w 1925 r. Być może podobnie wyglądały jego popisy w Lublinie. [Narodowe Archiwum Cyfrowe]

poznał plany tej prowokacji, a chcąc za wszelką cenę dowieść prawdziwości swoich mocy, na krótko przed pożarem ogłosił je w gazecie przebrane w maskę proroczego widzenia.

W marcu 1933 roku czarodziej III Rzeszy został zabity w tajemniczych okolicznościach – na zlecenie samego Hitlera lub zazdrosnego o jego względy aparatu. Hanussen obrósł własną legendą, ale jako podstępny przeciwnik wpisał się także na stałe w mitologię Breitbarta.

PRZEŚCIGNĄŁ LOT SAMOBÓJCZYNI

A legend o życiu króla żelaza było znacznie więcej. Krążące po świecie historie o wyczynach herosa żyły własnym życiem, zapewne skutecznie podsycane przez impresaria Breitbarta i jego samego. Opowiadali, że pewnego razu młody Breitbart zobaczył przed sobą rozpędzony powóz gnany ku tragedii przez spłoszone konie. Bez zastanowienia wskoczył na niego, ujarzmił bestie i uratował tym samym córkę pewnego łódzkiego przemysłowca. Kiedy przechadzał się kiedyś po Moskwie, zobaczył kobietę wyskakującą z okna na drugim piętrze. Prześcignął lot samobójczyni i zdołał pochwytać ją w ramiona, dzięki czemu wyszła z tej przygody bez żadnego uszczerbku. Innym razem dostrzegł straszną pożar, który uwięził na trzecim piętrze półtorarocznego syna wdowy. Chociaż strażacy porzucili już wszelką nadzieję i bezradnie przyglądali się tragedii, on wskoczył na drabinę sięgającą jedynie drugiego piętra, przerzucił przez framugę pęk grubego sznura, po którym dostał się do mieszkania, a potem spuścił kołyskę z niemowlęciem. Gdy dosięgli go języki pożaru skoczył na drabinę i spokojnie zszedł na dół muśnięty tylko przez ogień. Kiedy bawił u wiedeńskich Rotszyldów i zadziwiał socjetę jedną ręką unosząc fortepian, a drugą stół ogromnych rozmiarów, baron Rotszyld powiedział z ubolewaniem: – Wszystko pan podnosi do góry, tylko waluty naszej pan podnieść nie może. – Do podniesienia waluty powinienś być pan zdolniejszym ode mnie – odparł mu na to Breitbart, czym całe zbławazowane towarzystwo wprawił w doskonałe nastroje. Kiedy przyjechał do Nowego Jorku udał się do któregoś z cyrków, gdzie tamtejszy atleta gwałcił żelazne sztaby. Po przedstawieniu zaoferował sto dolarów temu, kto zwycięży go w zapasach. Na scenę wszedł Breitbart i jednym ciosem powalił Amerykanina. Jego sława była tak wielka, że gdyby chciał przeczytać wszystkie listy, które codziennie dostawał, to musiałby każdego dnia poświęcać na to 24 godziny, a odwiedzały go takie tłumy, że nie miał czasu na jedzenie. Innym znowu razem, kiedy na Times Square w Nowym Jorku występowała wycieczona przez Hanussena Marta Farra, ktoś dostrzegł, że dźwigany przez nią słoń wisi w rzeczywistości na niewidocznych łańcuchach. Tłum chciał złinczować dziewczynę, ale wkroczył Breitbart i powstrzymał rozwścieczonych Amerykanów. Założył sobie łańcuch przytrzymujący słonia na szyję i dźwignął bestię do góry. Kiedy publicznie szydził z niego Henry Ford, twierdząc, że wszystkie jego popisy to blaga, Breitbart rzucił magnatowi wyzwanie. Zadeklarował, że w piętnaście minut uwolni się z dowolnych łańcuchów wybranych przez Forda pod warunkiem, że odda on połowę swojego majątku na rzecz osadnictwa żydowskiego w Palestynie. Ford nie przystał na propozycję, a Breitbart sam przeznaczył ogromne sumy na Palestynę i ku uciesze tłumów dał popis uwalniania się z oków żelaza.

10 OPERACJI PO ZRANIENIU GWOŹDZIEM

Śmierć pochwyliła Breitbarta w ojczyźnie. Zmarł u szczytu swojego powodzenia. W 1925 roku gościł w Radomiu, gdzie dawał typowe dla siebie popisy – gwałcił żelazo, unosił ciężary i gołymi rękoma wbijał gwoździe w grube dębowe deski. Jeden z gwoździ przeszedł niefortunnie na wylot i zranił go w kolano. Breitbart zignorował zadrapanie i kontynuował krajowe tournée. Traf chciał, że w drobną ranę wdało się zakażenie, które spokojnie dojrzewało we krwi. Po kilku miesiącach przeżerała go już gangrena, umierał długo i w potwornych męczarniach. W berlińskiej klinice ratowano go aż dziesięcioma operacjami, amputowano mu nogę, potem drugą, jednak w październiku 1925 roku mocarz wyzionął ducha. Sława Breitbarta długo jeszcze unosiła się po świecie. Znajdował całe zastępy naśladowców, gotowych ponowić lub przewyższyć jego dzieło. W czerwcu 1929 roku w Lublinie gruchnęła nowina, że w mieście pojawiło się rodzeństwo Breitbarta – Sonia i Józef, równie silni, z równie atrakcyjnym repertuarem. Wkrótce wyszło jednak na jaw, że siostra Breitbarta nazywa się Czesia, od wielu lat mieszka w Ameryce i nie ma w sobie nic z siłaczki, natomiast jego brat Józef przebywa na stałe w Paryżu. Rzekome rodzeństwo okazało się parą mistyfikatorów, w dodatku chrześcijan. Honor rodziny ratował Cerszon Breitbart, prawdziwy brat nieboszczyka i powiernik jego dziedzictwa, który szybko przyjechał do miasta i zastąpił tych dwoje na scenie. Wszystko to jednak były już tylko cienie i powidoki, które nie dorównywały chwale nowego Samsona, króla żelaza, przegrzaczka gwoździ i pogromcy łańcuchów. Za życia nie miał sobie równych wśród ludzi, a powaliła go – o ironio – jedna spizowa szpilka.

Piotr Nazaruk

Krakowskie Przedmieście i plac Litewski były miejscami wielu historycznych zdarzeń, ale też stanowiły świadectwo tego, jak Lublin się zmieniał.

W przewodniku z roku 1901 Maria Antonina Ronikierowa pisze: „Sercem dzisiejszego Lublina, punktem, gdzie się życie jego ogniskuje i rozchodzi, jest Krakowskie Przedmieście. Tu panuje największy ruch powozów i dorożek, tu każdy szanujący się obywatel miasta Lublina (...) musi każdodziennie, jeśli nie częściej, przyjść dla spaceru, dla spotkania znajomych, dla odetchnięcia wreszcie atmosferą ruchu i życia, jakie tu panuje. Istotnie ulica ta, prosta, szeroka, dobrze zbudowana, z całym szeregiem porządkowych, czasem ładnych nawet wystaw sklepowych, z drobnym brukiem i dobrymi chodnikami, w znacznej części drzewami wysadzana, robi przyjemne wrażenie, zdaje się być przeniesioną z dużego miasta”. W stojących wzdłuż Krakowskiego kamienicach znajdowały się hotele, cukiernie, liczne sklepy, w tym księgarnie. Te ostatnie przez setki lat były znakiem tego, że należymy do „cywilizacji druku”. W historii słowa drukowanego odbija się ważna część dziejów Lublina i jego kultury. Z „cywilizacją Gutenberga” związane są oczywiście książki, gazety, ale również drukarnie, księgarnie, antykwariaty, czytelnice, biblioteki. To książki w sposób szczególny łączyły nas z Europą. W czasach, gdy każda, nawet mała podróż była wyprawą, książka stanowiła prawdziwe okno na świat.

Liczne księgarnie, szczególnie przy głównej ulicy Lublina Krakowskim Przedmieściu, były najwidoczniejszym znakiem popularności czytelnictwa w naszym mieście. Jedną z nich dała początek wielkiej księgarskiej firmie Arctów, znanej w całej Polsce. Działyły tu też drukarnie, a wiele wydrukowanych w nich tomów ma swoje barwne i dramatyczne historie. Wielkim miłośnikiem książek był Józef Czechowicz. W czerwcu roku 1926 stał się jednym z twórców Towarzystwa Miłośników Książek. Zebranie założycielskie towarzystwa odbyło się dokładnie 18 czerwca w księgarni firmy Gebethner i Wolff mieszczącej się w pomieszczeniach Hotelu Europejskiego przy Krakowskim Przedmieściu. Prowadził ją legendarny lubelski księgarz, Franciszek Raczkowski. Przez wiele lat było to ulubione miejsce spotkań środowiska bibliofilii.

Tomasz Pietrasiewicz

REKRYMINAŁKI



Fragmenty fotografii pochodzą z czasopisma „Światowid”

„OGRÓDKIEM TOWARZYSZY” WINNA ZAJĄĆ SIĘ NIEZWŁOCZNIE POLICJA

W ogródku „Rusałka” przy ulicy Zamojskiej – známym już dziś całemu Lublinowi z występów komuny lubelskiej – mieszka od dłuższego czasu wdowa, Zofia Gładysz, która utrzymuje potajemny wyszynk wódki na miejscu i na wynos. Z tą potajemną norą, która jednocześnie jest domem schadzek, chcemy zapoznać naszą policję. W wyszynku Gładyszowej, a raczej w jej domu rozpusty, zbierają się „damy” z półświatka, różnego rodzaju amatorzy „wzmocnionej” oraz rycerze księżycy i noża. Poza tym odbywają tam posiedzenia zdradzani mężowie, także żony, gdzie to dobrane towarzystwo zapija się do nieprzytomności, siejąc wokół zgorszenie. Potwierdzeniem tego są częste bójki i awantury w „ogródku towarzyszy”. Rano żona pobiła męża, ciągnąc go pijanego do domu, w południe mąż żonę wygarbował skórę, a wieczorem rozliczyli się z sobą kochankowie, dzieje się to na oczach młodzieży przeważnie w soboty, niedziele i święta.

(„Ziemia Lubelska”, 12 lipca 1929)



Wnętrze lubelskiej kawiarni, lata 30. XX w. fot. Stanisław Magierski



KRWAWA BÓJKA PRZY STUDNI

W domu nr 22 przy ulicy Placowej w czasie nabierania wody ze studni wywiązała się awantura, w której wzięły udział dwie lokatorki wspomnianego domu. W następstwie awantury powstała bójka. Obie kobiety rzuciły się na siebie z pięściami. Połała się krew. Wreszcie jedna z nich chwyciła za kubek i uderzyła nim przeciwniczkę w głowę tak mocno, że ta upadła na ziemię. Poszkodowaną okazała się 50-letnia p. Marja Nesteruk. Pierwszej pomocy udzielił jej lekarz Pogotowia Ratunkowego.

(„Kurier Lubelski”, 2 stycznia 1932)

PAMIĄTKOWY ZEGAREK

Szablowskiemu Bolesławowi, zamieszkałemu przy ul. Orlej 12, nieznanemu sprawca skradł rękawiczki skórkowe, zegarek firmy „Rozkopi” z napisem „Nagroda marszówki „Kielce – Kraków” podobno zakupiony okazyjnie.

(„Kurier Lubelski”, 2 stycznia 1932)



KREW NA ŚNIEGU – ROZPRAWA NOŻOWA POD CUKROWNIĄ

W dniu wczorajszym w godzinach popołudniowych pomiędzy Janem Waligórskim – Gazowa 7, a Antonim Opieką – Widok 12, w pobliżu cukrowni, wynikła awantura na tle porachunków osobistych. Obaj wymienieni będąc w stanie mocno nietrzeźwym wydobyli noże i rzucili się na siebie. Naprawdę znajomi starali się zapobiec rozlewowi krwi. Awanturnicy bez litości poczęli się kaleczyć. Śnieg pod nogami bijących się począł się stopniowo czerwienić od śladów krwi. Pierwszy upadł Opieka, który otrzymał 3 ciężkie rany. Waligórski – dostał dwa ciosy nieco lżejsze. Wezwany lekarz pogotowia opatrzył obu rannych, przyczem Opiekę odwieziono do szpitala na kurację. Policja spisała protokół.

(„Ziemia Lubelska”, 15 grudnia 1930)

„To miasto, jakiego nie widzieliśmy: ulice z eleganckimi kamienicami, gdzie przechadzają się dystyngowane pary, a niedaleko smrodliwe zaułki przeludnione przez biedotę”. Gdybyśmy odnaleźli zapiski Amerykanów, którzy w latach 20. zjawili się w Lublinie, to zapewne przeczytalibyśmy takie skrajne opinie o mieście, w którym narodziła się Niepodległa.

Przyjechali zza oceanu, by zbudować wodociąg z prawdziwego zdarzenia. Były już lata 20. XX wieku, Polska była wolna od kilku lat, granice obronione, sytuacja ustabilizowana, a w Lublinie w większości mieszkań nie było wody i ludzie nosili ją ze studni albo kupowali od nosiwodów. Od 1899 roku była prywatna, choć eksploatowana przez miasto, instalacja wodociągowa zbudowana przez inżyniera Adolfa Weisblata, ale już w tak kiepskim stanie po latach okupacji w czasie I wojny światowej, że jej wydolność była znikoma.

STOLICA BEZ WODY, PRĄDU I GAZU

Duże miasto, stolica województwa. Siedziba bardzo ważnych urzędów, w tym administracji wojсковej, a armia była oczkiem w głowie władz II Rzeczypospolitej. A tu taki problem z wodą, i nie tylko, bo brak elektrowni i gazowni. Były za to ogromne aspiracje mieszkańców i władz, skoro już sam status miasta wojewódzkiego zobowiązywał do nadania Lublinowi sznytu wielkomięjskości. W 1925 roku magistrat uchwalił plan rozwoju Lublina, postanowił też zaciągnąć pożyczkę w dolarach, z której opłacane miały być wielkie inwestycje, jakich Lublin jeszcze nie widział. Przy tym, co widzimy w polskich miastach dzisiaj, gdy w ciągu roku czy dwóch powstają nowe drogi, remontowane są stare, a do tego powstają stadiony, hale sportowe, centra kultury to międzywojenny boom w Lublinie niczym nie może zaimponować, ale jak na tamte czasy to była rewolucja. Amerykanie z firmy „Ulen & Company” zbudowali wodociąg, powstała kanalizacja, elektrownia i gazownia. Dobrodroziejstwa cywilizacji nie dotarły w każdy zakątek miasta, ale pod koniec lat 20. „salon” miasta zaczął prezentować się już prawdziwie wielkomięjsko.

ELITA AKADEMICKICH MIAST

Jak na warunki ówczesnej Polski Lublin rzeczywiście był dużym miastem. Status stolicy województwa to jedno, a ze 116 tysiącami mieszkańców (dane z 1938 roku) Lublin był 11 polskim miastem pod względem liczby ludności. Miał swój „salon” z eleganckimi ulicami: Krakowskim Przedmieściem, Narutowicza, Kołłątaja, Chopina oraz dużą przestrzenią placu Litewskiego, gdzie w latach 20.

rozebrano wielki, dominujący nad śródmieściem prawosławny sobór. Tam popołudniami i w weekendy klasa średnia i oficerska przechadzała się, popijała kawę i jadła ciastka w popularnych kawiarniach „Semadeni” i „Chmielewski”, a uliczni fotografowie uwieczniali spacerujące pary na zdjęciach. Czas wolny spędzano w kinach lub w Teatrze Wielkim, jak wówczas nazywano obecny Teatr im. Osterwy przy ul. Narutowicza. Lubelskie elity musiały pękać z dumy w lecie 1938 roku, niemal w 20-lecie niepodległości, gdy miasto organizowało II Krajową Wystawę Koni. Wśród gości był minister spraw zagranicznych Józef Beck, czyli jedna z najważniejszych osobistości ówczesnego rządu i do tego generał z wiceministrem spraw wojskowych generałem Bronisławem Regulskim na czele. Dziś Lublin szczyci się swoimi pięcioma wyższymi publicznymi uczelniami, co nie jest już tak bardzo prestiżowe, skoro uczelnia jest w każdym dużym mieście. W II Rzeczypospolitej Lublin był jednak w ścisłej elicie akademickich miast. Dzięki założonemu w 1918 roku, u zarania niepodległości, Uniwersytetowi Lubelskiemu (któremu w 1928 r. dodano nazwę Katolicki) w nowym państwie był wśród zaledwie sześciu uniwersyteckich miast, obok Warszawy, Krakowa, Poznania, Lwowa i Wilna.

STOLICA PRZEMYSŁU LOTNICZEGO

Tak bez przesady można nazwać przedwojenny Lublin. Był przecież siedzibą pierwszej polskiej fabryki samolotów. Zaczęło się od... kotłów, bo ich wytwarzaniem zajmowała się przed I wojną światową fabryka E. Plage i T. Laśkiewicz. W czasie wojny Rosjanie starali się wywieźć na wschód jak najwięcej wyposażenia przemysłowego i ten rabunek nie ominął również zakładu Plagego i Laśkiewicza. Po wojnie właściciele szukali więc nowego pomysłu na biznes i przestawienie się z kotłów na produkcję samolotów na potrzeby rodzącego się polskiego lotnictwa wojskowego, co przez długie lata wydawało się strzałem w dziesiątkę. Lubelska fabryka dostała wojskowe zamówienia i produkowała maszyny na włoskich i francuskich licencjach. Te pierwsze, marki Ansaldo, były wyjątkowo kiepskie, czasem nazywano je „latającymi trumnami”, a ówcześni mieszkańcy miasta długo opowiadali sobie o pewnym fatalnym locie próbnym, gdy samolot wyprodukowany w fabryce Plagego i Laśkiewicza rozpadł się w powietrzu, a szczątki dwóch nieszczęsnych lotników leżały na łąkach nad Bystrzycą. Ansaldo zastąpiono na pewien czas francuskimi samolotami Potez. W lubelskiej fabryce myśłano już jednak, że własna, oryginalna konstrukcja będzie znacznie lepszym rozwiązaniem i dla zakładu, który był największym pracodawcą w mieście, i dla wojska. Lublin i fabryka miały to szczęście, że pracę w zakładach zaczął były pilot wojskowy inżynier Jerzy Rudlicki. To był ogromny krok naprzód, bo Rudlicki szybko zaproponował nowe konstrukcje, opracowane



Samoloty Lublin R-X i R-IX wyprodukowane w fabryce, 1929 r. [Narodowe Archiwum Cyfrowe]

już na miejscu, w biurze technologicznym fabryki. Tak narodziła się cała seria samolotów o dumnej nazwie „lublin”. Polskie lotnictwo używało ich przez szereg lat, także we wrześniu 1939 roku. Rudlicki projektował przeróżne modele „lublina”: myśliwskie, rozpoznawcze, tzw. towarzyszące, a także wodnosamoloty. Wynalazł także tzw. usterzenie Rudlickiego, które montowano od początku lat 30. w „finalnym” modelu serii „lublinów”. Lubelski inżynier wyprzedził swoją epokę, bo usterzenie Rudlickiego, stosowane rzadko w konstrukcjach samolotowych, wykorzystano na dużą skalę w USA (gdzie Rudlicki mieszkał po II wojnie) dopiero w latach 80., w supernowoczesnym, niewidocznym dla radarów samolocie F-117. Kryzys lat 30. i coraz mniej przyjazna polityka gospodarcza armii, która wolała zamawiać wyposażenie w państwowych wytwórniach sprawiły, że fabryka Plagego i Laśkiewicza podupadła, aż przejęło ją państwo, co mogło być celowym działaniem wojska. Samoloty aż do 1939 roku powstawały w Lublinie, tyle że już nie pod szyldem „Plage i Laśkiewicz”, lecz w zakładzie o dumnej nazwie Lubelska Wytwórnia Samolotów.

MIASTO W MIEŚCIE

Taki był żydowski Lublin. Mieszkanka ówczesnego Lublina Róża Fiszman-Sznajdman w wydanych po wielu latach wspomnieniach „Mój Lublin” pisała o zatęchłych podwórkach kamienic przy ulicy Lubartowskiej. Te domy stoją do dziś, z powierzchni ziemi zniknęły inne tworzące resztę dzielnicy lubelskich Żydów: Szeroka, Krawiecka, Jateczna i inne. Nie ma wielkiej synagogi Maharszala. Pełno tam było ludzi utrzymujących się z dorywczych prac, drobnego handlu, masa bezrobotnych. Żydowskie szkoły – chedery, prywatne domy modlitwy, piekar-

nie, zakłady szewskie, krawieckie, kury, kaczki, bo je hodowali ludzie, a tuż obok miasta już się kończyło. Nad Bystrzycą były wielkie łąki. Ale żydowski Lublin też miał swoje wielkie aspiracje. Do gminy żydowskiej należał najnowocześniejszy w międzywojniu szpital, mieszczący się przy ul. Lubartowskiej. Niezwykle charyzmatyczny i operatywny rabin Majer Szapira był bardzo sprawnym menedżerem. Organizując zbiórkę wśród Żydów całego świata zgromadził wystarczająco dużo pieniędzy na budowę imponującego gmachu na samym końcu ulicy Lubartowskiej, tuż przy rogatce lubartowskiej, w którym w 1930 roku rozpoczęła działalność Jeszawas Chachmej Lublin, największa na świecie uczelnia kształcąca rabinów. Pozycję, jaką miał Szapira, poseł na sejm Rzeczypospolitej, pokazał jego pogrzeb w 1933 roku. Rabina żegnał cały Lublin, a ceremonia, oprócz religijnej, miała również oprawę państwową, bo trumnę po ulicach miasta odprowadzali również wysocy oficerowie Wojska Polskiego, najważniejszej instytucji ówczesnego państwa. Lubelscy Żydzi potrafili się także dobrze odnaleźć w życiu politycznym miasta. Żydowskie stronnictwa były zwykle językiem u wagi w radzie miasta i to o głosy żydowskich rajców zabiegali raz socjaliści, raz narodowcy, by móc rzucić miastem i desygnować kolejnych kandydatów na urząd prezydenta Lublina. Ich wpływ na radę miasta nie oznaczał jednak, że Żydzi awansowali do elity miasta. Fakt, wielu lublinian pochodzenia żydowskiego, „zasymilowanych” Żydów mieszkało w eleganckich kamienicach przy ul. 3 Maja, na Krakowskim Przedmieściu, na Wieniawskiej czy ul. Chopina, ale większość Żydów zajmowała się handlem, czy rzemiosłem, lub po prostu klepała biedę jako bezrobotni. I nic tu nie mógł zmienić apel miejskiej radnej Beli Szyffer, zgłoszony w 1920 roku, by w służbie publicznej zatrudniać więcej mieszkańców Lublina pochodzenia żydowskiego, skoro stanowią tak duży odsetek ludności miasta.

A GDBY NIEPODLEGŁA ISTNIAŁA...

Zawodowi historycy unikają „gdybania” i z pogardą traktują wszelkie rozważania o historii alternatywnej, „gdybologię”. Ale tutaj możemy zadać sobie pytanie: jaki byłby Lublin, gdyby nie II wojna światowa? Pozostałaby cała wielka dzielnica zamieszkała przez Żydów, którą wyburzyli Niemcy, a resztki uprzątnięto po wojnie. Może nie byłoby więc brzydkiego dworca autobusowego, który jak drzazga tkwi tuż obok pięknego Starego Miasta? Po II wojnie światowej szybko zwiększyła się liczba ludności miasta i prawdopodobnie byłoby tak, gdyby II Rzeczpospolita przetrwała. W wizji rządowych planistów, w tym wybitnego ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego, Lublin miał być częścią Centralnego Okręgu Przemysłowego, zaplanowanego jako nowe centrum przemysłowe kraju, trochę jako przeciwwaga dla Śląska i lepiej położone strategicznie, dalej od niepewnych granic z Niemcami i dość daleko od granicy z Sowietami. Realizacja COP-u zaczęła się z rozmachem uciętym przez wybuch II wojny światowej. Czy jednak powstałby drugi wielki uniwersytet w Lublinie: UMCS założony przez nowe „ludowe” władze w 1944 r. jako ideologiczna przeciwwaga dla KUL? Dziś nie da się wyobrazić sobie akademickiego Lublina bez Uniwersytetu Marii Curie- Skłodowskiej.

Marcin Bieleśz

fot. Edward Hartwig,
Wnętrze jednej z lubelskich fabryk, lata 30.



TRZECI

7

ZYGMUNT PUŁAWSKI
1901



JÓZEF SZANAJCA
1902



JÓZEF CZECHOWICZ
1903



GENIUSZE Z LUBLINA

„Świadkowie wypadku słyszeli po huku motoru, że pilot do ostatniej chwili próbował wyrównać maszynę, zwiększając lub zmniejszając na przemian obroty silnika, lecz było już za późno. 29-letni konstruktor zmarł w drodze do szpitala. Polska utraciła jednego z najlepszych swoich konstruktorów”.

Kurier Poranny, 22 marca 1931

Genialny konstruktor, mimo swojej krótkiej kariery zawodowej opracował sześć typów samolotów.

Zygmunt Puławski urodził się w Lublinie 24 października 1901 r. Ojciec, Wojciech, pracował w Fabryce Maszyn Rolniczych Mieczysława Wolskiego. Puławski uczył się w Szkole Handlowej Męskiej założonej przy wsparciu braci Augusta i Juliusza Vetterów, przemysłowców i filantropów (w budynku do dziś znajduje się szkoła; funkcjonuje pod nazwą Zespół Szkół Ekonomicznych im. A.J. Vetterów). Ukończył ją w 1920 r. i tego samego roku rozpoczął studia na Wydziale Mechaniki Politechniki Warszawskiej. Lotnictwem interesował się od samego początku studiów. Puławski politechnikę skończył w 1925 r. i za dobre wyniki w nauce wyjechał na praktykę do zakładów lotniczych Bregueta we Francji. Do Polski wrócił w 1927 r. W tym samym roku rozpoczął pracę w Centralnych Warsztatach Lotniczych w Warszawie, późniejszych Państwowych Zakładach Lotniczych. Był tam kierownikiem grupy konstrukcyjnej.

Puławski opracował samolot PZL P-1, pierwszy polski metalowy myśliwiec. Potem był PZL P-6, który wzbudził sensację na Międzynarodowym Salonie Lotniczym w Paryżu w 1930 r. Wkładem Puławskiego w rozwój lotnictwa było zaprojektowanie płata o mewim kształcie. Skrzydła te zapewniały bardzo dobrą widoczność z kabiny i jednocześnie były wytrzymałe. Rozwiązanie nazwano „płatem Puławskiego” lub „płatem polskim”.

Puławski często odwiedzał w Lublinie swoją rodzinę, której pomagał finansowo. 21 marca 1931 r. w Warszawie, na skrzyżowaniu ul. Kaliskiej ze Słupecką i Sękocińską runął samolot przez niego pilotowany. To także była własna konstrukcja Puławskiego – dwumiejscowa amfibia PZL-H (projektował ją za zgodą PZL). Rozbił się niedługo po starcie. Dzień później katastrofę tak relacjonował „Kurier Poranny”: „Zatoczywszy kilka kół nad lotniskiem samolot skierował się w stronę Ochoty. Gdy aparat minął kościół św. Jakuba na pl. Narutowicza, inż. Puławski prawdopodobnie chcąc zawrócić na lotnisko pochylił aparat do głębokiego wirazu. W tej chwili jednak amfibia poślizgnęła się na skrzydło i runęła z wysokości 150 m na ziemię. Świadkowie wypadku słyszeli po huku motoru, że pilot do ostatniej chwili próbował wyrównać maszynę, zwiększając lub zmniejszając na przemian obroty silnika, lecz było już za późno. 29-letni konstruktor zmarł w drodze do szpitala. Polska utraciła jednego z najlepszych swoich konstruktorów”. Amfibia była potrzebna Puławskiemu m.in. do lądowania na rzece w Kazimierzu nad Wisłą, dokąd na plenery malarskie jeździła jego sympatia Hanna Henneberg (była pierwszą kobietą, która w Aeroklubie Warszawskim uzyskała dyplom pilota). Puławski został pochowany w Lublinie na cmentarzu przy ul. Lipowej. Nigdy tak naprawdę nie miał opinii dobrego pilota. W Warszawie, na kamienicy na skrzyżowaniu Kaliskiej ze Słupecką i Sękocińską, znajduje się tablica upamiętniająca konstruktora.

Józef Szanajca stworzył niezwykle duet twórczy z Bohdanem Lachertem. Ich wspólny projekt – dom własny Lacherta z ul. Katowickiej w Warszawie – uznawany jest za jedną z pierwszych w pełni awangardowych realizacji w Polsce i już w 1968 r. został wpisany do rejestru zabytków. Śladem ich twórczości w Lublinie jest bank przy Krakowskim Przedmieściu 64.

Wybitny architekt urodził się w Lublinie 4 marca 1902 r. Ojciec, Ludwik Szanajca, był prawdopodobnie współwłaścicielem apteki przy Rynku. Józef ukończył tę samą szkołę co Zygmunt Puławski. Maturę w szkole Vetterów zdał w 1919 r. Z Lublina wyjechał, by studiować na Politechnice Warszawskiej. Na uczelni poznał Bohdana Lacherta, z którym stworzył niezwykle twórczy duet.

Przyjaźń zaczęła się od tego, że Lachert pomagał załatwić pracę Szanajcy, bo ten miał raczej skromne pieniądze na utrzymanie się w stolicy. Dzięki koledze ze studiów dorabiał jako kreślarz w Towarzystwie Akcyjnym Wł. Gostyński i Spółka.

Lachert i Szanajca to czołowe nazwiska polskiej awangardy. Ich wspólny projekt – dom własny Lacherta z ul. Katowickiej w Warszawie – uznawany jest za jedną z pierwszych w pełni awangardowych realizacji w Polsce i już w 1968 r. został wpisany do rejestru zabytków. Lachert i Szanajca byli członkami znanej grupy Praesens.

Dla Lublina ten duet architektów zaprojektował kino „Era”. Miało powstać w robotniczej dzielnicy, przy ul. Przemysłowej. Projekt pokazywał nawet włoski magazyn o sztuce, ale ostatecznie inwestor zrezygnował z budowy. W rodzinnym mieście Szanajcy projektanci zostawili jednak inny ślad swojej twórczości. To gmach przy Krakowskim Przedmieściu 64 wybudowany jako siedziba Banku Gospodarstwa Krajowego (bank, chociaż już inny, urzęduje pod tym adresem do dziś). Wprowadzić w przypadku tego obiektu pewne jest autorstwo jedynie Lacherta oraz architekta Jerzego Pańkowskiego, to nazwisko Szanajcy także łączone jest z tą realizacją. Występuje w katalogu wystawy o Szanajcy i Lachercie zorganizowanej w Muzeum Architektury we Wrocławiu w 1980 r. Budowa lubelskiego banku zakończyła się w listopadzie 1935 roku. We wrześniu 1939 r. Lachert postanowił wyjechać z Warszawy do Ciechanek pod Łęczną, gdzie znajdował się jego rodzinny majątek. Stolicę uznał za zbyt niebezpieczną. Zabrał żonę Irenę oraz dwoje dzieci. Pojechał z nimi także Szanajca. Pewnego dnia w Ciechanekach zatrzymał się też sztab dowodzony przez generała Władysława Andersa. Szanajca zaproponował, że zostanie ich kierowcą (do wojska go nie przyjęto ze względu na kiepskie zdrowie; miał problemy z kregosłupem). Anders przystał na tę propozycję.

Józef Szanajca zginął w wieku 37 lat, w nocy z 24 na 25 września 1939 r. pod Pławowem koło Tomaszowa Lubelskiego. Został ostrzelany z karabinu maszynowego. Jechał wtedy za kierownicą tatyry i wioził pewnego rotmistrza, który miał przekazać rozkaz. Szanajca został pochowany w Pławowie. Lachert dowiedział się o jego śmierci po dwóch latach (Lachert zmarł w 1987 r.).

Na postawie książki Beaty Chomątowskiej „Lachert i Szanajca. Architeci awangardy”, Wydawnictwo Czarne, 2014

Do świata wielkiej poezji Czechowicza wprowadził tomik „Kamień” z 1927 r. Publikacja była literackim wydarzeniem, nie tylko ze względu na treść, ale i formę. Czechowicz wydał go na zwykłym pakowym papierze.

Jeden z największych poetów polskich XX w. w Lublinie się urodził, tworzył i zginął. Józef Czechowicz przyszedł na świat 15 marca 1903 r. w suterenie przy Kapucyńskiej 3. Kamienica już nie istnieje. Dziś część działki, na której stała, zajmuje postawiony w latach 60. XX w. gmach Powszechnych Domów Towarowych. Było to służbowe mieszkanie ojca Czechowicza, który pracował jako woźny w Banku Handlowym. Gdy Czechowicz miał dziewięć lat, jego ojciec zmarł, więc ciężar utrzymania rodziny spadł na matkę. Dyrektor banku zgodził się, by przejęła etat po mężu, dzięki czemu rodzinie udało się uniknąć eksmisji. Czechowicz uczył się najpierw w elementarnej rosyjskiej szkole rządowej przy Rynku, później w Szkole Męskiej przy Jezuickiej 42. Ukończył ją w 1917 r. i rozpoczął naukę w Seminarium Nauczycielskim urządzonym w dawnym pałacu Tarłów (dziś Wojewódzki Dom Kultury; Narutowicza 2).

Czechowicz pracował jako nauczyciel i dziennikarz. Przez kilka miesięcy był redaktorem naczelnym „Kurieru Lubelskiego”. W 1923 r., wraz z innymi poetami, założył czasopismo literackie „Reflektor”, w którym debiutował „Opowieścią o papierowej koronie”. Potem wokół „Reflektora” utworzyła się grupa literacka o tej samej nazwie. Do świata wielkiej poezji Czechowicza wprowadził tomik „Kamień” z 1927 r. Publikacja była literackim wydarzeniem, nie tylko ze względu na treść, ale i formę. Czechowicz wydał go na zwykłym pakowym papierze. Nazwisko Czechowicza stało się głośnie.

W 1933 r. Czechowicz wyjechał do Warszawy, gdzie jako dziennikarz rozpoczął pracę w Polskim Radiu. Po tej przeprowadzce napisał „Poemat o mieście Lublinie”. Akcja utworu dzieje się w lipcu, przy pełni księżyca, kiedy to w nocną wędrówkę po Lublinie zabiera nas tajemniczy przewodnik-wędrowiec. Poemat pisany był specjalnie dla Polskiego Radia, a cała Polska mogła usłyszeć go w 1937 r. W Lublinie, od kilkunastu lat, zawsze w pierwszą lipcową noc pełni odbywa się spacer trasą „Poematu”. Czechowicz w Lublinie był wręcz zakochany i często oprowadzał po nim swoich przyjaciół.

We wrześniu 1939 r. Czechowicz wraz z grupą przyjaciół ewakuował się z Warszawy do Lublina. Tuż po przybyciu, 9 września, poszedł do fryzjera w kamienicy przy Krakowskim Przedmieściu. W pewnej chwili jedna z bomb trafiła w budynek, przebiła strop i wpadła do zakładu. Poeta nie przeżył. Zginął zaledwie kilka kroków od swojego domu rodzinnego.

Kamienicy po dawnym zakładzie fryzjerskim już nie odbudowano. W jej miejscu, czyli pomiędzy klasztorem Kapucynów a Pocztą Główną, mamy plac, nazwany imieniem Czechowicza. Jego postać upamiętnia ustawiony tam pomnik. Grób poety znajduje się przy ul. Białej.

oprac. Małgorzata Domagała



Jedno ze zdjęć zrobionych pamiętnego 5 listopada 1916 r. przedstawia Marię Dąbrowską. Pisarka w Lublinie mieszkała i pracowała prawie rok.



STAN PRZEJŚCIOWY. LUBELSKI ROZDZIAŁ AUTORKI „NOCY I DNI”

Akt 5 listopada zapowiadający utworzenie z ziem polskich odebranych Rosji samodzielnego państwa, ogłaszano w Lublinie niezwykle uroczystie. Z tego dnia zachowały się fotografie, na których widać m.in. tłum na placu Katedralnym i pełne ludzi Krakowskie Przedmieście.

Jedno ze zdjęć, zrobionych tego dnia w Lublinie, jest także bohaterem „Dzienników” Marii Dąbrowskiej, autorki wydanych w latach 30. „Nocy i dni”, za które była nominowana do literackiej Nagrody Nobla. 5 listopada ktoś sfotografował ją na placu Litewskim, a potem z tego zdjęcia wydrukowano pocztówkę. Pisarka opisuje, że była akurat „z panią Staniszewską na mieście i przechodząc Krakowskim Przedmieściem około gubernatorstwa, tak dla dziecinnej ciekawości, żeby zobaczyć, jak z bliska wygląda, skrzyliśmy na szeroki zajazd po-Radziwiłłowskiego pałacu, między dwa szpale-ry, wystawionych na rozpoczęcie uroczystości, spieszonych austriackich ułanów. Przypatrzywszy się nadjeżdżającym pojazdom, przez nikogo nie zaczepiane ani zatrzymywane, wyszliśmy drugą stroną podjazdu”. Dwa dni później ktoś ze znajomych przyniósł jej pocztówkę ze zdjęciem, na której idzie ze swoją znajomą między szeregami austriackiego wojska. Fotografów nawet wtedy nie zauważyła. „Widząc nas tak śmiało kroczącymi po paradyżnym zajeździe, przypuszczali zapewne, że jesteśmy jakimiś figurami i fotografię z nas złapaną wydali w cyklu pocztówkowych zdjęć z uroczystości”.

Maria Dąbrowska (na zdjęciu po prawej) przyjechała do Lublina na początku 1916 roku. Zaproponowano jej wydawanie „Polski Ludowej”, organu Stronnictwa Ludowego. Pismo miało wychodzić właśnie w Lublinie, bo, jak Dąbrowska wyjaśnia w „Dziennikach”, „pod Austryakami cenzura była lżejsza”. Wydarzenia z 5 listopada określiła jako „nową trudną treść”. Wyjaśniała: „Stan tym aktem zaprojektowany byłby nie do zniesienia, gdyby nie przekonanie wszystkich sfer i wszystkich kierunków politycznych, że to jest jedynie stan przejściowy i że cokolwiek się dzieje, Polska nie do niewoli idzie, lecz się z niewoli z mozołem wydostaje”.

A miasto z tego okresu zapamiętała tak: „Lublin w owym czasie nabrał, jak się niektórzy wyrażali, charakteru małego Wiednia (...) W mieście mnóstwo też było austriackich oficerów Polaków, mnóstwo dam i nie dam oficerskich, przybyłych z Wiednia, Budapesztu i Bóg wie skąd. W sklepach – pełno gustownych wiedeńskich drobiazgów, strojów i kapeluszy”. Druga kobieta uchwycona na fotografii to Maria Staniszewska, u której Dąbrowska wynajmowała pokój na początku swojego pobytu w Lublinie. Jej mężem był Aleksander Staniszewski, lekarz i społecznik. Maria Staniszewska była przewodniczącą Koła Pracy Społecznej Kobiet i działaczką m.in. Związku Równouprawnienia Kobiet i Towarzystwa Szerzenia Oświaty „Światło”.

Do Staniszewskich należała kamienica przy ówczesnej ul. Szpitalnej 9, dzisiejszej Peowiaków. Pod

krakowskie Przedmieście wkrótce po wkroczeniu wojsk niemieckich i austro-węgierskich. Na jezdni leży przewrócony słup telegraficzny, obok którego stoi austriacki żołnierz. Po prawej budynek poczty, podpalony przez wycofujących się Rosjan. Do poczty przylegają kamienice, obecnie nieistniejące, zniszczone podczas bombardowania Lublina we wrześniu 1939 roku (w jednej z nich, w zakładzie fryzjerskim, zginął Józef Czechowicz). W głębi widać kościół Kapucynów, a za nim hotel „Wiktoria”, również zniszczony podczas II wojny światowej. Zdjęcie zostało zrobione najprawdopodobniej 31 lipca lub w pierwszych dniach sierpnia 1915 roku. Jest to jedna z nielicznych fotografii pokazujących zniszczenia wojenne w Lublinie podczas I wojny światowej. Miasto nie ucierpiało podczas walk – wycofujący się Rosjanie podpalili budynek poczty i uszkodzili słupy telegraficzne. Uszkodzenia te zostały dość szybko naprawione przez nowe władze okupacyjne (niemieckie i austro-węgierskie). Budynek poczty nie istnieje w kształcie widocznym na zdjęciu. Po kolejnym pożarze w latach 20. został przebudowany i nadbudowany, w wyniku czego uzyskał obecny wygląd.

Marcin Fedorowicz

Fotografia ze zbiorów prywatnych, udostępniona Ośrodkowi „Brama Grodzka – Teatr NN” dzięki uprzejmości kolekcjonera.

koniec listopada 1916 r. u Staniszewskich na podwieczorku gościł Józef Piłsudski. Maria Dąbrowska, również zaproszona na to przyjęcie, zrelacjonowała je później ze szczegółami. Pod kamienicą robotnicy urządzili wówczas wiec poparcia dla Piłsudskiego. „Caluteńka ulica od rogu Kołłątaja do rogu Gubernatorskiej szczelnie zapchana, głowa przy głowie” – opisała. A od manifestujących Piłsudski usłyszał wtedy: „W imieniu klasy robotniczej Lublina oświadczamy ci, komendancie, że ufnosć nasza w tobie. Tam, gdzie nas poprowadzisz, pójdziemy z wiarą, że twoja droga wiedzie do niepodległej ojczyzny”. Maria Dąbrowska z Lublina wyjechała w grudniu 1916 r.

Na koniec jeszcze, wyłaniający się z zapisków pisarki obraz pokazujący ówczesną dostępność komunikacyjną miasta. Dąbrowska przyjechała do Lublina konnym omnibusem, z dwoma dłuższymi postojami w Garwolinie i w Rykach. Obydwa w nocy – pierwszy o późnym zmierzchu, drugi koło czwartej, piątej nad ranem. W sumie podróż z Warszawy zajęła jej mniej więcej dobę. Podczas pobytu w Lublinie, w kwietniu, zaczęła starać się o przepustkę na wyjazd koleją do Warszawy, której nie można było dostać bez świadectwa szczepienia przeciwko ospie. Przepustka przyszła latem. Wtedy Dąbrowska na dworcu w Lublinie na pociąg czekała pół dnia. W Dęblinie musiała przesiąść się na kolejny, który też przyjechał dopiero po kilku godzinach.

Małgorzata Domagała



259 740 MINUT O LUBLINIE

Cieszą nas wydobywane z pamięci opisy detali z przeszłości: dekoracje witryn sklepowych, kolory sukienek, imię szewca reperującego buty, czy wspomnienie dźwięku końskich kopyt stukających o bruk. Dzięki nim miejsca, które codziennie mijamy, zyskują nowe znaczenie.

Historia mówiona to relacja z przeszłych wydarzeń, opowiedziana z indywidualnej perspektywy i poddana subiektywnej ocenie. Jako metoda badawcza jest wykorzystywana w wielu dyscyplinach naukowych. Polega na rejestrowaniu, analizowaniu i archiwizowaniu wspomnień istniejących w pamięci jednostkowej i zbiorowej.

W działalności Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” obecna niemal od początku jego istnienia. Pierwsze nagrania ze świadkami historii powstały w 1998 roku. Wtedy niewiele osób w Polsce słyszało o historii mówionej. Do dzisiaj udało się nam zarejestrować wspomnienia 2347 osób. To 259 740 minut nagrań. Gdybyśmy chcieli słuchać ich bez przerwy, zajęłoby to prawie pół roku.

Wyglądając przez okna Bramy Grodzkiej w kierunku lubelskiego Zamku, widzimy pustą przestrzeń. Gdybyśmy cofnęli się w czasie o kilkadziesiąt lat, zobaczylibyśmy gwarne i zatłoczone ulice dzielnicy żydowskiej. Nieliczne fotografie i dokumenty, które przetrwały do naszych czasów, nie dość dokładnie opisywały ten świat. Dlatego postanowiliśmy sięgnąć do pamięci tych, którzy te miejsca znali.

Tematyka pierwszych nagrań, zarejestrowanych w ramach programu Historia Mówiona, była skupiona wokół dwudziestolecia międzywojennego. Interesowały nas wspomnienia związane z wyglądem miasta i rytmem życia jego mieszkańców. Cieszyły wydobywane z pamięci opisy detali: dekoracje witryn sklepowych,

kolory sukienek, imię szewca reperującego buty, czy wspomnienie dźwięku końskich kopyt stukających o bruk. Ciekawiły obco brzmiące imiona szkolnych kolegów i koleżanek: Fiszel, Srul, Frajda czy Złotka. Dopytywaliśmy o ich losy. Świadkowie historii stali się naszymi przewodnikami po przeszłości i po świecie, który został w tragiczny sposób zgładzony. Pamięć bywa jedynym depozytariuszem czyjegoś istnienia.

Miejsca, które codziennie mijamy zyskały dla nas nowe znaczenie. Przechodząc przez Bramę Grodzką, często myślę o Szejwie Arbuzowej. W sąsiedztwie prowadziła sodówkę. Sprzedawała słodkie makagigi. Podobno była niewysoka i tęga. W archiwalnych dokumentach ostatni ślad, jaki po sobie zostawiła, pochodzi z 1941 roku. Świadek historii Bogdan Pazur jest być może ostatnią osobą, która mogła przypomnieć o jej istnieniu. To osobiste losy ludzi tworzą najbardziej żywą i emocjonalną historię każdego miejsca.

Uważnie wsłuchujemy się w opowieści świadków historii. Ścigamy się z czasem. Coraz mniej jest tych, którzy pamiętają przedwojenne i okupacyjne czasy. Świadomość, że w czyjejś pamięci mógł pozostać jedyny ślad czyjegoś istnienia, czy wydarzenia zmusza nas do wyłożonej pracy.

Dlatego powstał projekt „Ostatni świadek”, w którym nagrywamy relacje najstarszych mieszkańców Lublina i regionu. Chcemy ocalić ich wspomnienia dla obecnych i przyszłych pokoleń. Śpieszymy się słuchać ludzi. Za chwilę nie będziemy już mieli komu zadawać pytań.

Ale w naszej pracy nie skupiamy się tylko na historiach z okresu międzywojennego i okupacji hitlerowskiej. Równie istotne są historie przybliżające mniej odległą przeszłość Lublina. Ważne jest dla nas

uchwycenie tego, jak wielka historia odciska piętno na życiu zwykłych ludzi. Chcemy jak najdokładniej udokumentować pamięć o ważnych momentach w życiu powojennego Lublina. Interesują nas zarówno wydarzenia polityczne: wyzwolenie Lublina, wydarzenia w marcu 1968 roku, Lubelski Lipiec czy stan wojenny, ale też codzienność mieszkańców. Pytamy o wygląd mieszkań w PRL, ówczesną modę czy zaopatrzenie sklepów. Osobne kolekcje tworzą wspomnienia lubelskich opozycjonistów zaangażowanych w niezależny ruch wydawniczy oraz relacje osób z lubelskiego środowiska kulturalnego.

Historia mówiona to nie tylko nagrywanie i archiwizacja. To przede wszystkim spotkanie z drugim człowiekiem. Najczęściej starszym i bardziej doświadczonym. Z багаżem przeżyć i mnóstwem szczegółów zapisanych w pamięci. Naszą rolą jest ich wydobyć. Nić porozumienia, jaka tworzy się podczas rozmowy pomiędzy starszym a młodszym pokoleniem, jest inspirującym doświadczeniem.

Nie chodzi tylko o techniczne rejestrowanie wspomnień świadków historii. Ten projekt ma głęboko ludzki wymiar. Jesteśmy odpowiedzialni za przechowywanie tej pamięci.

Czuając wagę zarejestrowanych relacji, chcemy się nimi dzielić. Stworzyliśmy multimedialne archiwum wspomnień i ludzkich losów. Wszystkie nagrane przez nas historie w ramach programu Historia Mówiona Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” w Lublinie udostępniamy na stronie internetowej www.historiamowiona.teatrnn.pl. Dzięki temu opowieści naszych rozmówców mogą dotrzeć do każdego zakątka na świecie.

Wioletta Wejman



OKRES MIEDZYWOJENNY

HISTORIA MÓWIONA

Pamiętam lokatorów z ulicy Szerokiej 40. To był dom rabina Szlomy Eigera. Mieszkał na pierwszym piętrze. My mieszkaliśmy na drugim. Druga klatka schodowa. Nasz sąsiad nazywał się Jech, a jego córka Englender. Na trzecim piętrze mieszkała starsza pani Jochweta ze swoją wnuczką. Wołali na nią Fajga, a Fajga to ptaszek. W kamienicy mieszkała też Dyna Ekhaus z mężem Szłomą. Mieli syna i dwie córki. Pamiętam też Nachmana Filfusa i jego żonę Pesę, wdowę Bidermanową i Szaję Szryfta. We frontowej części budynku mieszkał szewc. Oddzielił sobie warsztat od mieszkania. Był też sklep z mąką. Z Polaków był tylko dozorca z rodziną. Nazywał się Szczepan, a żona Szczepanowa. Mieli córkę Helę.

Ewa Eisenkeit, ur. 1919

Do szkoły zawsze nosiło się mundurek. Na ubraniu albo na płaszczu miałam tarczę z numerem szkoły. Na głowie berecik ze znaczkiem szkoły numer 9. Nie byłam na ulicy bezimienna. Do szkoły kupowało się odpowiednie płaszczyki i kurteczki. Mundurek był z szewiotu. Musiałyśmy mieć też plisowaną spódniczkę, marynarski kołnierz z białym sutazem dookoła. Świąteczny ubiór to biała bluzka z marynarskim kołnierzem i granatowym sutazem. Nosiło się też czarne fartuszki z alpaki z falbanką dookoła. Zakładało się je na granatową sukienkę. Pończochy i buty mogły być brązowe. Ubierałyśmy się jednakowo, tak, żeby nikt nie wyróżniał się tym, że jest biedny czy bogaty. Nikt nie narzekał, że musi chodzić w mundurku. (...)

(...)Pamiętam sklepy z zabawkami, a w nich lalki i koniki na biegunach. Przed Bożym Narodzeniem wszystkie wystawy na Krakowskim Przedmieściu były ruchome. Nawet te w aptece. Babka zabierała nas wieczorem na Krakowskie i oglądałyśmy wystawy. Wszystko grało i ruszało się. Pamiętam zjeżdżające saneczki i ruszające się lalki. Zabawek kupowało się mało. W domu była kasetka moja i mojej siostry do oszczędzania. Wrzucało się po 20 groszy, a był mortes [gwar. bieda]. Pamiętam, jak matka otworzyła kasetkę i zaproponowała, że z tych pieniędzy kupi mi lalkę. Wybrałam małą laleczkę, a resztę pieniędzy mama wydała.

Anna Mass, ur. 1921

Estera Rubinsztajnowa prowadziła kolonialny sklep. Były w nim pyszne, wielkie głowy sera z czerwoną skórą, zawinięte w celofan. Jak się kroilo, to był specyficzny zapach prawdziwego, szwajcarskiego sera. Rubinsztajnowa uwijała się za ladą. Na półkach stały luksusowe artykuły i różne smakołyki. Były pomarańcze, wanilia. Wraz z nastaniem zimy można było kupić bażanty i kuropatwy. Ze słodczy kupowało się grube kawały czekolady na wagę. Kilogram kosztował chyba 2 złote.

Zofia Kłępka, ur. 1927

Za Bramą Krakowską Żydzi wypiekali bajgle. Obwarzanki były robione z mąki. Osłodzone, gotowane, a potem pieczone w piecu. Były wspaniałe. Pyszne i chrupiące. Na ulicach było słychać: „Nastała noc głucha, w latarni wiatr dmucha, kto pieśni mej słucha, sam chyba czart, kupujcie bajgli, gorące bajgli, od biednej Sajgli, kupujcie je”. Bajgiel kosztował 5 groszy. Przed wojną 30 groszy kosztował kureczak, jajko 1,5 grosza, litr mleka 5 groszy.

Anna Berger, ur. 1915

W żydowskich piekarniach było wypiekane wspaniałe pieczywo. Było przez cały dzień świeże i pachnące. Nie kruszyło się i było bez zakalca. Dla mnie największym rarytasem były bajgle. To obwarzanki sprzedawane przez Żydówki. Były pieczone w mieszkaniach, nie w piekarniach. To była tajemnica tych piekarzy. Były stale chrupiące, wspaniałe w smaku, cały dzień dostarczane w niewielkich ilościach. Były bajgle zwykle i były bajgle jajeczne. Zwykle kosztował 3 grosze, jajeczny – 5 groszy.

Zbigniew Matysiak, ur. 1926

PAMIĘĆ-MIEJSCE-OBECNOŚĆ

Historia Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” rozpoczęła się w 1990 roku, kiedy to grupa osób tworzących Teatr NN rozpoczęła pracę w opuszczonej ruinie, jaką wtedy była Brama Grodzka. Od tamtego czasu Brama Grodzka i sąsiadujące z nią kamienice zostały w pełni odbudowane, a teatr zamienił się w Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”. Powstało tu ważne miejsce pamięci i żywy ośrodek kultury.

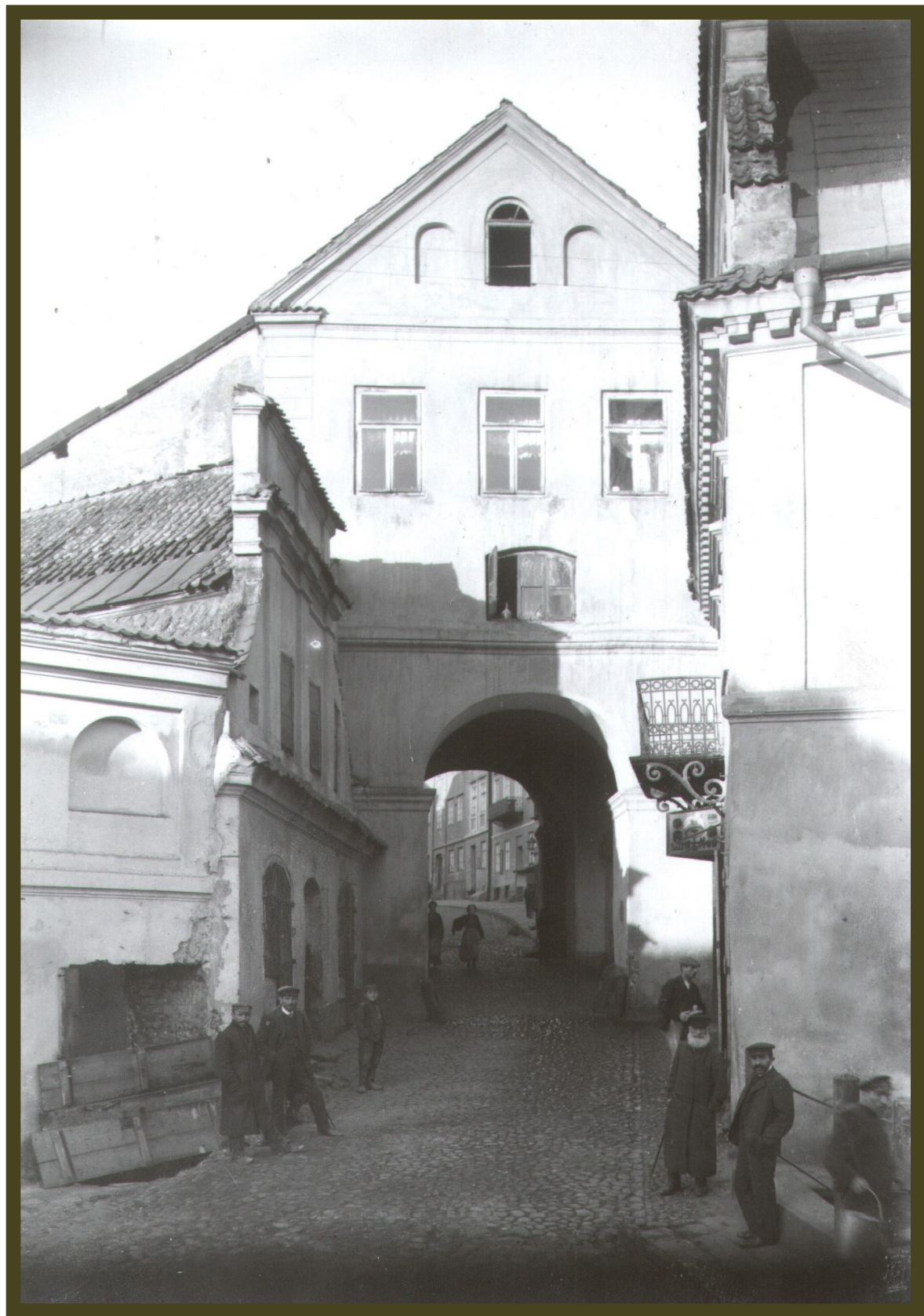
Obecnie ośrodek prowadzi swoją działalność w trzech miejscach: w Bramie Grodzkiej, w Trasie Podziemnej (Trybunał Koronny) i w Domu Słów (Zmigród). Wszystkie te miejsca łączy to, że opowiadają o historii miasta.

Działalność Teatru NN rozpoczęła się tuż po upadku komunizmu, w okresie wielkich zmian politycznych i społecznych zachodzących w tamtym czasie w Polsce. Ze względu na swoją siedzibę – Bramę Grodzką, prowadzącą do nieistniejącego już Miasta Żydowskiego, teatr zaczął odkrywać pamięć o tym miejscu. Stąd nazwa naszego programu „Pamięć – Miejsce – Obecność”. Podkreślamy w nim historyczne i symboliczne znaczenie Bramy Grodzkiej, będącej dawniej przejściem pomiędzy Miastem Chrześcijańskim i Miastem Żydowskim, jako miejsca spotkania łączącego różne narody, tradycje i religie. To w tej bramie jak w Arce Pamięci zaczęliśmy ocalać stare fotografie, dokumenty, wspomnienia. Te wspomnienia stanowią niezwykle, bo mówione, archiwum najnowszej historii Lublina. W przestrzeni wokół bramy, tu gdzie kiedyś było Miasto Żydowskie, Teatr NN zrealizował wiele działań artystycznych odkrywających pamięć o przeszłości, ale też będących oplakiwaniem ofiar Zagłady.

Od roku 2005, w 25. rocznicę powstania „Solidarności” i Lubelskiego „Lipca ’80”, ośrodek rozpoczął realizację programów nawiązujących do tych właśnie najnowszych wydarzeń w historii Polski. Jednym z nich jest projekt „Siła wolnego słowa”, dokumentujący podziemny ruch wydawniczy w Lublinie.

W roku 2006 ośrodek stał się gospodarzem Trasy Podziemnej, w której stworzył opowieść o rozwoju Lublina od chwili jego narodzin, a w roku 2008 przejął i uratował od zniszczenia starą drukarnię. To z tej drukarni zrodziło się w Lublinie nowe miejsce kultury – Dom Słów, a wraz z nim program poświęcony książce, jej historii, ale też literaturze i poezji. Dom Słów znajduje się w samym środku biednego i zdegradowanego śródmieścia Lublina. Dlatego powstał tu również program o charakterze społecznym. Należy podkreślić, iż ośrodek wykorzystuje w swoich programach nowoczesne technologie, dzięki czemu wiele z nich realizowanych jest w zupełnie nowej przestrzeni kultury jaką jest Internet.

Tomasz Pietrasiewicz



Brama Grodzka (od strony dzielnicy żydowskiej), pocz. XX w., autor niezany, szklany negatyw [ze zbiorów A. Trzcíńskiego]

Z KRZYSZTOFEM STYCZYŃSKIM ROZMAWIA MAŁGORZATA DOMAGAŁA

Próba podziału świata tylko i wyłącznie na biały czarny skazana jest na niepowodzenie. Boli mnie wrzucanie wszystkich do jednego kotła: albo patrioci, albo zdrajcy.

Widzi pan nowy trend w byciu patriotą?

Tak i jest on dosyć wyraźny. Do tej pory patriotyzm raczej był traktowany, zarówno przez młodzież jak i dorosłych, w kategoriach bliższych patosowi. Teraz, niestety, dosięga go komercja, co widać po gadżetach z symbolami narodowymi.

Pościel z orłem i napisem „Jestem Polakiem, więc mam obowiązki polskie”, bo o takich przedmiotach mówimy, to słaby pomysł na manifestowanie przywiązania do ojczyzny?

To rzecz gustu do czego wykorzystuje się symbole narodowe. Ja nigdy nie kupię pościeli z widokiem zburzonej Warszawy. Pod ruinami zniszczonego miasta widzę tysiące ofiar i dziwię się, jak można spać pod takim czymś. Nigdy nie zgodzę się też na to, by na kiju bejsbolowym znajdował się symbol Polski Walczącej. W naszym kraju bejsbol nie jest przecież popularną dyscypliną sportową. Raczej kojarzy się z narzędziem do przestępstw, więc wizerunek Małego Powstańca, czy barwy narodowej na tym przedmiocie nigdy nie będą mieć mojej akceptacji. Tak samo, jak nie akceptuję sprowadzania powstania warszawskiego do gry klockami. Czym innym jest gra zaproponowana przez Instytut Pamięci Narodowej, oparta na materiale badawczym historyków, która ma czegoś nauczyć. Natomiast układanka z klocków budzi moje zastrzeżenia i wątpliwości. Czy dziecko powinno bawić się płonącą Warszawą? Manifestowanie swojego przywiązania do tradycji, historii jest czymś naprawdę cudownym, pięknym. Ale może warto pójść inną drogą? Mieszkam w bloku, gdzie jest sto mieszkań. Podczas ostatniego Święta Niepodległości wisiały tam tylko cztery flagi, w tym moja.

Jeśli już mówimy o Świącie Niepodległości, to co pan czuje, kiedy 11 listopada włącza pan telewizor i widzi relacje z marszu niepodległości?

Mam mieszane uczucia. Z jednej strony cieszy mnie, że wzrasta świadomość tego dnia, dlaczego właśnie 11 listopada, a nie żadna inna data. Cieszy

mnie, że wzrasta świadomość postaci, które wtedy kreowały naszą rzeczywistość i chęć manifestowania. Natomiast smuci wykorzystywanie przez małe grupy, przy braku zdecydowanego sprzeciwu pozostałych, tego święta do okazywania swojej niechęci czy nawet agresji w stosunku do każdego, kto jest inny. I tu odnoszę się do banera, który znalazł się na czele marszu niepodległości i do hasel, które były wykrzykiwane. Jeżeli idę za jakimś transparentem to tym samym go legitymizuję. Jeżeli nie mam możliwości zobaczenia go, to jeszcze mogę się czuć się usprawiedliwiony. Ale jeżeli idę tuż obok niego, to nie mogę mówić, że nie wiedziałem, co to znaczy „biała siła” czy „Polska dla Polaków”. Dla takiego czegoś nie mam wytłumaczenia. Tak samo, jak nie mam wytłumaczenia dla posługiwania się postaciami historycznymi do okazywania swojej niechęci wobec innych.

Na przykład?

Dziś Roman Dmowski stał się symbolem dla osób, które prezentują nacjonalistyczne poglądy. Jako historyk nie umiem powiedzieć, czy jeśli Dmowski przeżyłby wojnę – a zmarł tuż przed – pozostałby wierny swoim poglądom, które w okresie międzywojennym były dosyć popularne w Europie, czy nie zmieniłby ich widmo Zagłady. Mogę oceniać Romana Dmowskiego w tym kontekście, w którym funkcjonował. Czym innym jest oddawanie postaciom historycznym hołdu za ich ówczesną działalność i tu Dmowskiemu niewątpliwie to się należy, bo przyczynił się do odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 r. A czym innym jest posługiwanie się jego postacią do usprawiedliwienia swojego działania. Tym bardziej że Dmowski nie może się w żaden sposób do tych poglądów teraz odnieść.

Boli mnie też to, że ci, którzy krzyczą o wartościach patriotycznych sami ich tak naprawdę nie realizują. Ich język jest okropny. Nie szanują go. Używają wulgaryzmów, zaśmiejają zupełnie niepotrzebnie obcymi zwrotami. Agresywne manifestowanie patriotyzmu niczego nie zmienia i to przestaje już być patriotyzmem. Patriotyzm to przede wszystkim obowiązki. Pójście na wybory, to, że jak usłyszę dźwięki hymnu wstanę a nie będę siedział, że nigdy nie napiszę głupiego hasła na fladze biało-czerwonej i nie pozwolę, by ta flaga służyła komuś do depre-

cjonowania wartości, które są dla mnie ważne. Będę wyraźnie mówił, że nie godzę się na takie rzeczy. I tego staram się uczyć moich uczniów. Jak też otwarcia na innego człowieka. Nawet wtedy, kiedy się z nim nie zgadzam, to i tak będę bronił jego prawa, by mówił to, co myśli. Muszę go szanować, niezależnie od tego, jaki jest. I nie można nam zapominać, że wcześniej byliśmy społeczeństwem wielonarodowym, wieloetnicznym, multireligijnym i razem budowaliśmy naszą historię.

A widzi pan teraz próbę napisania przez polityków nowej, czarno-białej, historii Polski? Czy prowadzona właśnie dekomunizacja nie jest tego wyrazem?

Próba podziału świata tylko i wyłącznie na biały czarny z zasady skazana jest na niepowodzenie. Posłużę się przykładem I Armii Wojska Polskiego, która to nazwa musi zniknąć z listy patronów ulic. Jednostka została utworzona w 1944 r. przez towarzystwo oceniane jednoznacznie, czyli m.in. Wandę Wasilewską i Bolesława Bierutą. Owszem I Armia WP miała legitymizować działania Armii Czerwonej, ale przypisanie żołnierzom roli, której na pewno nie sprawowali, jest niegodziwe. Musimy pamiętać o tym, że do tej armii podążali ci, którzy nie zdążyli „dobić” do armii Andersa i zostali w Związku Radzieckim. Dla nich ta jednostka była więc szansą, by dotrzeć do Ojczyzny. Wśród nich często byli ci, którzy zostali do Związku Radzieckiego zesłani chociażby w wywózkach 1940 r.

Później niektórzy rzeczywiście znaleźli się w gabinecie władzy komunistycznej i czerpali z tego konkretne profity. Natomiast boli mnie jako historyka, nauczyciela, po prostu jako człowieka, wrzucanie wszystkich do jednego kotła: albo patrioci, albo zdrajcy. Czym innym jest ocenianie wodzów tejże armii, którzy implementowali na swój sposób nowy system, a czym innym jest ocenianie tych prostych żołnierzy wysłanych na bagną pod Lenino. Nie odważyłbym się powiedzieć, że ginęli za komunizm, za Lenina, za Stalina. To jest nadużycie historyczne i przeciwko temu zawsze będę protestował. Rozliczajmy historię, oceńmy złe, dobre postawy, działanie ludzi, ale nie stosujmy do wszystkich jednego kryterium. Kiedy rozmawiam o II wojnie światowej ze swoimi uczniami, proszę ich, by próbowali pobierać informacje, co działo się wtedy w ich

miejsowości albo z ich bliższą czy dalszą rodziną, by wojnę przedstawić przez pryzmat konkretnych osób. Uczniowie mówią mi wtedy właśnie o swoich dziadkach czy pradziadkach. Są wśród nich i tacy, którzy walczyli także w szeregach I Armii Wojska Polskiego. Czy więc ci uczniowie muszą oceniać ich właśnie w ten sposób, wymazać ich ze swojej rodziny?

Dlaczego te małe, lokalne historie są ważne?

Każdy skądś pochodzi, każdy ma jakąś przeszłość. Historia widziana przez pryzmat najbliższego otoczenia to ta najbardziej nasączona, a nie ta, o której mogę przeczytać w Wikipedii. Świadomość tego, że korzystam z dorobku wcześniejszych pokoleń, pozwala mi na szacunek do tego, co pozostawili. Czerpmy od innych, uczmy się od starszych, którzy przeszli swoją historię, niezależnie od tego, jaka ona była. I nie wolno nam nigdy wygumkować Majdanka. Napis nad mauzoleum: „Los nasz dla was przestroga”, powinien być ostrzeżeniem i każdemu z nas przypominać, że w pewnym momencie coś się wymyka spod kontroli. Bo przecież kiedyś jeden człowiek, gdzieś tam w Bawarii krzyczał jakieś absurd, machano na niego ręką, mówiono, że jest głupkiem. Tylko, że później polityka tego „głupka” doprowadziła do śmierci milionów ludzi. W związku z tym dzisiaj nam nie wolno machać ręką na jakiegokolwiek przejawy nienawiści do drugiego człowieka. Bezkarność powoduje eskalację. Jeśli przymknijemy oko na zło, to ono się rozszerzy.

ROZMOWA

Krzysztof Styczyński

– nauczyciel historii i WOS w III LO im. Unii Lubelskiej w Lublinie. Wychowawca wielu pokoleń olimpijczyków z historii i wiedzy o społeczeństwie. Społecznik.



S Z E Ś Ć N A J W A Ż N I E J S Z Y C H D A T P R O F . J E R Z E G O K Ł O C Z O W S K I E G O *

1317 Początki Lublina są dużo starsze i archeologiczne ślady są coraz lepsze. Już w X wieku gród lubelski miał duże znaczenie. W wieku XIII zaczęło się formować coś więcej ponad skupisko ludzi, zajmujących się różnymi rzeczami. Zaczęły powstawać zrebry społeczności miejskiej. W 1317 roku ostatecznie formują się podstawy tego, co po łacinie nazywało się „communitas”, wspólnoty obywateli. Ludzi, którzy otrzymali prawa. Lublin wchodził do procesu (prawo magdeburskie), który decydował o powstaniu Europy. Europę tworzyło społeczeństwo: tysiące wsi i miast zamieszkanych przez ludzi wolnych, posiadających własne prawa. Tworzył się krąg cywilizacji europejskiej. Mieszkańcy Lublina w roku 1317 wchodzili do społeczności europejskiej, gdzie obywatele byli chronieni przez prawo. Prawo dawało im autonomię. Nie było jeszcze wprawdzie samorządu, ale była to w pełni droga do niego.

Badania najnowsze wydołyły wielkie znaczenie klasztorów żebrzących: Dominikanów i Franciszkanów, które objęły swym wpływem całą Europę łacińską. W latach 60. XIII wieku w Lublinie na Starym Mieście powstał klasztor bardzo ważnego zakonu. Jeżeli spojrzmy na mapę Europy, to klasztor Dominikanów w Lublinie wyznaczał wschodnią granicę kręgu łacińskiego. To bardzo ważny moment prowadzący Lublin do wielkiej rodziny zachodnioeuropejskiej.

W Lublinie „powstają” obywatele – punkt wyjścia w rozwoju obywatelskiego Lublina. Dzieje się to na krótko przed koronacją Władysława Łokietka, która była odnowieniem państwa polskiego.

1386 W 1386 roku Władysław Jagiełło, przekroczywszy niedaleko Lublina granicę Polski, został tu, w Lublinie, przez szlachtę polską wybrany na króla Polski. Zaczyna się finalizować unia polsko-litewska. Wydarzenie niezwykle wagi w historii Europy Środkowo-Wschodniej. Wielkie państwo litewskie, rozpostarte od Bałtyku do Morza Czarnego, łączy się z Polską. W Lublinie dokonał się ten moment wyboru i potwierdzenia. Parę lat wcześniej obywatele Lublina dostali od Jagiełły przywilej, że mogą handlować na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego. Zupełnie zmieniła się sytuacja miasta. Lublin się umocnił, miał już radę miejską i nagle stanął w centrum wielkiego organizmu politycznego. Jeżeli spojrzmy na mapę, zobaczymy, że znalazł się między Krakowem, stolicą Polski, a Wilnem, stolicą państwa litewskiego.

1569 Trzeba było prawie dwustu lat, żeby dwa wielkie organizmy przygotowały się do Unii Lubelskiej. Ten akt, tu podpisany, to wielki moment w historii Polski i historii europejskiej. To największy moment świetności miasta. Rozważano przecież, czy stolicą Polski ma być Warszawa, czy może Lublin. Jarmarki lubelskie stały się europejskim zjawiskiem, goszcząc kupców od Moskwy, przez Paryż, do Lyonu. Kiedy dzisiaj mówimy o Unii Europejskiej, to możemy powiedzieć, że Unia Lubelska stała się tradycją przygotowującą Unię Europejską. Polska przygotowała drogę możliwą do zrealizowania w XX wieku. Po 1648 roku miasto zajęli Kozacy, Moskale i Szwedzi. Zaczęła się bardzo trudna historia Lublina. Chciałbym przejść od razu do wieku dwudziestego.

1918 Jest to data odzyskania niepodległości. Kilka dni przed 11 listopada niepodległościowe siły polskie (POW z Rydzem-Śmigłym i Daszyńskim – przywódcą polskich socjalistów) powołały w Lublinie rząd. Był to jeden z sygnałów, że społeczeństwo chce Polski demokratycznej, która będzie dla wszystkich. Ten rząd bez najmniejszego problemu podporządkował się później Piłsudskiemu.

Z tym okresem wiąże się data powstania pierwszego uniwersytetu w Lublinie. Decyzja zapadła właściwie w Petersburgu na polskim uniwersytecie. Gdy wybuchła rewolucja i miejsce w Rosji dla akademii już nie było, to zrobiono naradę, gdzie przenieść się do Polski? Z mapy wynikało, że w środku Polski leży Lublin. W Petersburgu zapadła decyzja o lokalizacji lubelskiej i dzięki życzliwości biskupa Fulmana oraz naczelnika Piłsudskiego, koszały zostały oddane na rzecz KUL. Miasto ponownie weszło w okres pomyślności i znalazło, poprzez powstanie uniwersytetu, swoje miejsce w Polsce.

1944 To jest dramatyczna data. Lublin został z woli Stalina stolicą Polski. Kiedy w Moskwie powołał PKWN, to podjął militarną decyzję, żeby zająć kawałek obszaru, który Polsce przyznał, bo połowę Polski już sam zajął wcześniej. W Lublinie stworzono podstawy jego władzy. Pomagał mu dawny sekretarz Stalina z lat trzydziestych – generał Sierot, dokładnie kontrolować wszystko, co mogło się w Lublinie dziać. Ludzie PKWN stali się wykonawcami woli Stalina. Dramat polegał na tym, że Lublin był silnym ośrodkiem państwa podziemnego. To państwo było swo-

istą organizacją całego społeczeństwa. W Lublinie działały partie polityczne od prawicy do lewicy. Istniał bardzo silny okręg Armii Krajowej z pułkownikiem Tumidajskim, organizatorem trzech symbolicznych dywizji, które miały nawiązać do potęgi państwa polskiego.

W trzeciej dekadzie lipca wojska sowieckie zajęły Lublin. Uwolniły go spod okupacji niemieckiej i po kilku dniach rozpoczęły silne prześladowania wszystkiego, co polskie w tym mieście. Ten dramat przykrywano fasadą PKWN, a wyrażał się w tym, że na obszarze Polski lubelskiej uwięziono 100 tysięcy ludzi, z czego połowę zamordowano. Na Zamku Lubelskim, który był wcześniej więzieniem hitlerowskim, osadzono i wymordowano polskich akowców, młodych chłopaków i patriotów.

PKWN podpisał taką umowę ze Stalinem, że we wszystkim podporządkowuje się władzy policyjnej. Był to początek długiego okresu, w którym Polska znalazła się w strefie sowieckiej. Od samego początku była to władza narzucona. Ale skoro sytuacja międzynarodowa tak się ułożyła, że nie było innego wyjścia, to wielu ludzi uważało, że należy podjąć pracę, gdzie tylko się da, żeby cokolwiek dla kraju zrobić. Historia tego okresu jest historią ludzi miast i wsi, którzy podjęli masę wysiłku, żeby przeciwstawić się sowieckiej okupacji. To dzięki tej postawie Polaków nie doszło do tego, co była zamiarem W. Wasilewskiej: żeby Polska stała się republiką radziecką. Opór Polaków na ziemi lubelskiej zdecydował o tym, że tak się nie stało i Polska zyskała pewną autonomię. Polska lubelska stała się na karcie świata ważna. Rząd polski był w Londynie, a Lublin był symbolem tego, co Stalin narzucił Polsce wbrew Lublinowi.

Znów powróć do uniwersytetu katolickiego. Bułganin błagał rektora Słomkowskiego o otwarcie uczelni. W sierpniu rektor przez miesiąc naradzał się z delegatem rządu polskiego: otwierać uniwersytet, czy nie. Dla wielu mogło to oznaczać uznanie narzuconej przez Stalina władzy. W końcu zdecydowali: dla dobra prześladowanych ludzi, dla dobra akowców trzeba było dać szansę kształcenia i obrony polskiej tożsamości. Bułganin przyszedł na inaugurację. Moskwa ogłosiła sukces Stalina. W Lublinie jedni siedzieli w więzieniu, a drudzy poszli studiować. Dla dobra kraju i dla lepszej samoorganizacji.

1989 To ostatnia z moich symbolicznych dat. Wśród historyków europejskich panuje zgoda: katastrofa wielkiego obozu komunistycznego to koniec XX wieku. Cała Europa

Środkowo-Wschodnia zaczyna wyzalać się z systemu sowieckiego, co jest początkiem katastrofy światowego systemu komunistycznego w ogóle.

Powiązanie tej katastrofy z rolą Polski jest niepodważalne. Historycy sięgają do lipca 1980 roku i do strajków lubelskich, które są wobec tego wydarzeniem światowym. Ruch „Solidarności” zaczął się w Lublinie i w Świdniku. W historii świata coś się zaczęło zmieniać. Rozwinął się oddolny ruch pokojowy – nieterrotyczny – który rozbił wielki system. W 1989 roku, kiedy upadek był pewny, Gorbaczow zaczął szukać pokojowego wyjścia z sytuacji. Nie interweniował, ale dopuścił do kompromisu z opozycją. 4 czerwca poproszono społeczeństwo polskie, żeby się wypowiedziało w wyborach. Były to pierwsze częściowo wolne wybory w komunistycznym systemie. Przyniosły całkowitą klęskę obozu rządzącego.

To był wstrząs dla świata, że ludzie sami dokonali wyboru. Miasto Lublin i cały region wypowiedziały się bardzo wyraźnie. Pierwszy Senat Rzeczypospolitej dokonał reformy i można było wybrać samorząd Lublina. Lublin odzyskał prawa obywatelskie, które zapoczątkowane zostały w 1317 roku. Daty 1989 będą się uczyły pokolenia i Lublin w tej nauce zajmie miejsce pierwszorzędne. Data upadku komunizmu kończy wiek dwudziesty i Lublin zamyka go piękną frazą.

Jerzy Kłoczowski

Jerzy Kłoczowski (1924-2017) – historyk-mediewista, historyk kultury polskiej, specjalista historii Europy Środkowo-Wschodniej. Absolwent Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Pracownik naukowy Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Od 1991 do 2013 roku dyrektor Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej. Doktor honoris causa paryskiej Sorbony. Był autorem i redaktorem około tysiąca publikacji z zakresu historii i historii kultury. Żołnierz Armii Krajowej, uczestnik powstania warszawskiego.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w miesięczniku „Na przykład” (1997, nr 45).

KIEDY DOWIEDZIELIŚMY SIĘ, ŻE BĘDZIEMY TWORZYĆ TĘ OTÓ STRONĘ, KTÓRĄ WŁAŚNIE CZYTASZ, SPISALIŚMY LISTĘ SUBKULTUR, KTÓRE NAS SZCZEGÓLNIE INTERESOWAŁY.

ZADANIE POLEGAŁO NA OPWIEDZENIU O WOLNOŚCI. W INNY SPOŚB.

BO OTÓ WOLNOŚCI NIE BYŁO, A WOLNOŚĆ NAGLE WRÓCIŁA.

CO ZROBIĆ Z WOLNOŚCIĄ?

CHCEMY POKAZYWAĆ WOLNOŚĆ Z PERSPEKTYWY OSOBY I JEJ PASJI.

TEGO W JAKI SPOŚB, NIE ZAWSZE BĘDĄC ŚWIADOMYM, WOLNOŚĆ TOWARZYSZY W NASZYCH CODZIENNYCH DZIAŁANIACH.

TEKST: MACIEJ TUORA

RYŚUNKI: MACIEJ PAŁKA

NA PIERWSZY TEMAT WYBRALIŚMY GRAFFITI, KTÓRE RÓWNIEŻ CZASEM ZNIKA NAM Z OCZU ALE JEST W NASZEJ CODZIENNOŚCI OBECNE.

GRAFFITI

PO PROSTU SIĘ TO ROBI

SPOTKALIŚMY SIĘ Z CENZARYM HUNKIEWICZEM

W BRAIN DAMAGE GALLERY, MIEJSCU IDEALNYM DO OPWIEDZENIA TEJ HISTORII; MIEJSCU, KTÓRE DROWIĄDĄ O GRAFFITI I JEGO EWOLUCJI.

JAK TO SIĘ U CIEBIE ZACZĘŁO?

TO NIE CAŁKIEM TAK.

POLSKA GUERNICA – TO NIE BYŁO GRAFFITI, ALE TO BYŁO COŚ CO ZAPAMIĘTAŁEM. JESTEM Z RÓCZNIKA 1983. MIAŁEM 6 LAT.

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO NA ŚWIECIE?



NAJWIEKSZY BUM ZACZĄŁ SIĘ OD WODOODPORNYCH FLAMASTRÓW. W LATACH 60-70 XX WIEKU POPULARNYM ZAJĘCIEM MŁODZIEŻY STAŁO SIĘ WYMALOWYWANIE NA ELEWACJACH SWOICH KSYWEK, TO ZAS PRZERODZIŁO SIĘ W „TAGGING”.

tagi CZĘSTO PISANE ZA POMOCĄ JEDNEJ KRESKI, POWYGINANEJ W LITERY, TWORZĄCY PSEUDONIM WRITERA ALBO JEJÓ GRUPE.

ESTETYKA NIE JEST PRIORYTETEM TAGOWANIA. NAJWAŻNIEJSZY JEST INDYWIDUALNY, ORYGINALNY STYL. PRZEZ TO, SZTUKA TA CZĘSTO ZOSTAJE ODBIERANA JAKO FORMA WANDALIZMU.

WSPOMINAM TU O JARCU KOZIARZE I NAPIŚCACH „BRYNIO”, KTÓRE DLA MNIE BYŁY FANTASTYCZNYMI TAGAMI.	TO BYŁO NATURALNE. NAM SIĘ UDAŁO WYCZUĆ, ŻE TO BYŁO COŚ ŚWIEŻEGO, INTRYGUJĄCEGO.	SPODOBAŁO MI SIĘ, CO NIE OZNACZA, ŻE OD RAZU SIĘ ZA TO ZABRAŁEM.	DOPIERO WYKLUKWAŁO SIĘ MYŚLENIE, ŻE NIE TRZEBA BYĆ DO KONCA SZABŁONOWYM. TŁOK SIĘ NUTA NIEPOKOJU.	GRAFFITI POJAWIŁO SIĘ RAZEM Z HIP-HOPEM, CHOCIAŻ UTOŻSAMIANIE JEST MYŁNE.	WINA LEŻY TROCHĘ W FILMACH DOKUMENTALNYCH Z AMERYKI Z KONCÓWKI LAT 80-TYCH.	DO JEDNEGO WÓRKA WRZUCONO FILMY: STYL WARS I WILY STYL I TO, ŻE KTOŚ TANCZY, RAPUJE CZY MALUJE GRAFFITI.	TYMCZASEM GRAFFITI NIE MUSI FUNKCJONOWAĆ W KONTEKŚCIE HIP-HOPU I RĄDZI SOBIE BEZ NIEGO BARDZO DOBRZE.
KOLEDZY JEŻDZILI NA DESKORÓLKACH. JA TEŻ JEŻDZIŁEM.	PRZEZ DWA MIESIĄCE.	BYŁEM W TYM OKRÓPNY, NAJGORSZY... ALE JEŻDZIŁEM.	PÓŹNIEJ MIAŁEM KOLEGĘ W KLASIE I ZACZĘLIŚMY MALOWAĆ – TO PROSTU.	NIKT NAS NIGDY DO NICZEGO NIE ZACHĘCAŁ. PO PROSTU ZACZĘLIŚMY TO ROBIĆ. NIC WIĘCEJ.	GRAFFITI JEST WŁAŚNIE CZYMŚ TAKIM – PO PROSTU SIĘ TO ROBI. TAM NIE MA WIEKSZEJ, GŁĘBSZEJ MYŚLI.	TAM NIE MA, ŻE KTOŚ ZMIENI ŚWIAT. TO NIE JEST ŻADNA FORMA WALKI Z SYSTEMEM.	MOŻEMY UBIERAĆ TO W GÓRNOŁOTNE SFORMUŁOWANIA, ALE TO JEST PO PROSTU COŚ W RODZAJU MIEJSKIEGO SPORTU EKSTREMALNEGO.
POLEGAŁO NA TYM, ŻE MULTIPLIKUJE SIĘ W PRZESTRZENI MIEJSKIEJ SWOJE IMIĘ...	SIEBIE, SWOICH PRZYJACIÓŁ...	JEST TO O TYLE PRAPUJĄCE, ŻE WYNNURZA SIĘ Z TEGO CIEKAWA STYLISTYKA, COŚ CO ZACZĘŁO BYĆ MAINSTREAMEM...	ZARÓWNO W SZTUCE, JAK I W POPKULTURZE.	LUDZIE, KTÓRZY ZACZĘLI MALOWAĆ GRAFFITI W LATACH 1995-98 SĄ OBECNIE JEDNYMI Z WAŻNIEJSZYCH POLSKICH ARTYSTÓW.	SĄ WŚRÓD NICH MUZYCY, PROJEKTANCI, FILMOWCY, LUDZIE, NAZWIJMY TO, Z PRZEMYSŁÓW KREATYWNYCH.	WYDAJE MI SIĘ, ŻE JEST TO COŚ OCZYM WARTO PAMIĘTAĆ ROBIĄC BILANS ZYSKÓW I STRAT.	Z JEDNEJ STRONY ZNISZCZONA ELEWACJA, A Z DRUGIEJ ARTYSTA NOMINOWANY DO PASZPORTÓW POLITYKI.
NIE ZNACZY TO JEDNAK, ŻE GRAFFITI SAMO W SOBIE MA DO ZAFEROWANIA COŚ SPOŁECZNESTWU.	GRAFFITI NIE MOŻE BYĆ WRĘCZ CIEKAWE ZE WZGLĘDÓW POZNACZYCH ANI WAŻNE DLA ŻYCIA SPOŁECZNEGO I KULTURALNEGO.	DLATEGO, ŻE JEST BARDZO HERMETYCZNE I NIE LUBI NIEPROSZONYCH GOŚCI.	NIE LUBI KONIUNKTURALIZMU.	NAJPROSTSZA DEFINICJA GRAFFITI FORMUŁUJE, MÓWIĄC PO PROSTU, ŻE JEST:	SPONTANICZNE, ODDOLNE, NIEZALEŻNE.	JESLI KÓREGOŚ Z TYCH ELEMENTÓW ZABRAKNIE, TO NIE JEST JUŻ GRAFFITI.	JESLI KTOŚ ROBI GRAFFITI ZA PIENIĄDZE PUBLICZNE TO NIE MOŻE UDAWAĆ, ŻE JEST GRAFFICIARZEM W KOMINIARCE.
WARTO PATRZEĆ CO BĘDZIE SIĘ DZIAŁO Z GRAFFITI JAK JUŻ POPKULTURA JE PRZEŻYJE I WYPUŁUJE.	NA TEN TEMAT WKŁÓSCIE WYPEŁNIA CIEKAWE DYSKUSJE, GDYŻ TO JUŻ JEST NAPRAWDĘ ZMIERZEN POPULARNOŚCI GRAFFITI.	PRAWDOPODOBNIENIE ONO TERAZ ZNOWU JEŻDZI DO UNDERGROUNDU.	BĘDZIE ZNOWU TAKIM ZAJĘCIEM JAKIM BYŁO NA POCZĄTKU: NIE ZA BARDZO KAŻDY SIĘ TYM CHWALIŁ.	POLEGAŁO TO RĄCZĄ NA WANDALIZMIE.	GRAFFITI TO ZAWSZE BĘDZIE UNDERGROUND, JEJÓ ISTOTA NIETKWI W TYM CO SIĘ POJAWI NA ŚCIANIE...	...TYLKO W TYM CO TKWI W UMYSŁACH LUDZI, KTÓRZY SIĘ TYM ZAJMUJĄ. JAKĄ DROGĘ PRZEBYLI.	JAK WIELE CHCĄ POŚWIECIĆ ABY COŚ NAMALOWAĆ, JAK WIEKIE RYZYKO SĄ W STANIE PODJĄC.
PRZYPOMINAŁO MI SIĘ JAK TO WYGLĄDAŁO KIEDY DORASTAŁEM, NA MOIM OSIEDLU.	CHŁOPAKI MALOWALI ŚCIANY PRZY GARAZACH.	SPODZIENIA ZAMALOWAŁA, A ONI DZIĘKI TEMU MIELI KOLEJNE, CZYSTE PĘSTNO.	ĆWICZYLI SOBIE, A ICH MARZENIEM BYŁO PÓJŚĆ MALOWAĆ POCIĄG.	PÓŹNIEJ, KIEDY TA WALKA ODMALOWYWANIA TYCH GARAZÓW NIE PRZYNOSIŁA EFEKTU, SPODZIENIA ZROBIŁA PRÓBĘ DOGAĐANIA SIĘ Z MŁODYMI.	UDOSTĘPNIŁO SIĘ SPRĘ, I POZWOLONO OZDOBIE PRZESWITY.	WSZYSCY RZUCILI SIĘ I MAZALI PO PRZESWITACH, ZAPOMINAJĄC O GARAZACH CZY O PÓJSCIU NA POCIĄG.	TO JEST GRAFFITI – MALOWANIE POCIĄGÓW!
W GRAFFITI NIE CHODZI O TO ŻEBY WYRWAĆ PIENIĄDZE I FARBY ZE SPODZIENI.	CHODZI OTÓ, ŻEBY SIĘ ZDETERMINOWAĆ NA TYŁE ŻEBY, CHOLERA, PÓJŚĆ I POMALOWAĆ POCIĄG.	NIE DA SIĘ POSTRZEGĄC GRAFFICIARZY BEZ TZW. PSEUDO-GRAFFICIARZY.	PSEUDO-GRAFFICIARZE TO GRAFFICIARZE.	DLATEGO W OGÓLE ZROBIŁA SIĘ TAKA MOĐA NA STREET-ART?	WSZYSCY NA NIEGO PATRZĄ – „JAKIE TO FAJNE!” WYOBRAŻAMY SOBIE, ŻE TO SĄ WŁAŚNIE CI CO W NOCY WYJĄDĄ I TWORZĄ.	A TO JUŻ NIE JEST TAK. CI, KTÓRZY WYCHODZĄ W NOCY TO SĄ CI, KTÓRZYCH PÓŹNIEJ NAZWYJMY PSEUDO-GRAFFICIARZAMI. WANDALAMI.	DLA MNIE WANDALIZM NIE JEST SŁOWEM REJORYTYWNYM.
AKTUALNIE NAWET W POLITYCE OD PARU LAT ZACZĘŁO WYKORZYSTYWAĆ GRAFFITI.	MÓWI SIĘ: STREET ART, MURALE – TO JUŻ JEST JEDEN WIELKI WÓREK.	DZIEŁE TO COSIĘ DZIEJE W PRZESTRZENI MIEJSKIEJ (NAZWYJMY TO „URBAN ART”), NA SZTUKĘ ULICZNA, I SZTUKĘ W PRZESTRZENI MIEJSKIEJ.	SZTUKA ULICZNA JEST NIEZALEŻNA, ODDOLNA I SPONTANICZNA.	STREET ART: WIELKI, SZABŁON, PUKAT, CZASEM MURAL NIEZALEŻNY, GRAFFITI...	ALE TO WSZYSTKO JEST NIELEGALNE, ODDOLNE.	POCZĄTEK ZAWSZE SĄ PODOBNE: KUPIŁO SIĘ FARBY I MALOWAŁO. NIEKONIECZNIE PROSZĄC O ZGODE.	TU HISTORIA ZNOWU ZATOCZYŁA KÓŁO.



CENZARY HUNKIEWICZ (1983)

SOCJOLOG, ANIMATOR, NAUCZYCIEL AKADEMICKI. ZAŁOŻYCIEL EUROPEJSKIEJ FUNDACJI KULTURY MIEJSKIEJ. BADCZ KULTURY, KRYTYK SZTUKI ULICZNEJ, AUTOR TEKSTÓW PUBLIKOWANYCH W KRAJU I ZA GRANICĄ. ORGANIZATOR WYDARZEŃ, WYSTAW I DISKUSJI NA TEMAT SZTUKI ULICZNEJ. AUTOR ARTYKUŁÓW I REFERATÓW NT. KULTURY MIEJSKIEJ. OD PONAD 15 LAT AKTYWNIŁE UCZESTNICZY W ROZWOJU SZTUKI NIEZALEŻNEJ I SZTUKI ULICZNEJ W POLSCE I W EUROPIE.

BRAIN DAMAGE GALLERY

TO JEDYNA W POLSCE I JEDNA Z PIERWSZYCH NA ŚWIECIE GALERII DEDYKOWANYCH GRAFFITI WRITINGOWI I JEGO EWOLUCJI. MARKA POWSTAŁA W 1997 ROKU JAKO OGÓLNOŚWIATOWE CZASOPISMO „BRAIN DAMAGE MAGAZINE”. PROFIL GALERII KONCENTRUJE SIĘ NA PREZENTACJI GRAFFITI I RÓŻNYCH FORM JEJÓ EWOLUCJI, PRZY WSPÓŁPRACY Z ARTYSTAMI Z CAŁEGO ŚWIATA. WWW.BD.PL PLAC TEATRALNY 1 LUBLIN

ZRÓB TO SAM!

D.I.Y. (DO IT YOURSELF) – IDEA SAMODZIELNEGO WYTWARZANIA M. IN. TWORZENIA WYDAWANIA ZINÓW, RĘCZNEGO MALOWANIA NASZYWEK I KOSZULEK, WYDAWANIA MUZYKI NAGRANEJ WŁASNĄM SUMPTEM, ORGANIZOWANIA KONCERTÓW BEZ POMOCY SPONSORÓW.



DIY OR DIE!
CORAZ LĘPIEJ BĘDZIE
PROJEKT WYCINAMY NOŻYKIEM.
PRACUJEMY DOKŁADNIE.

SZABLON

POTRZEBUJEMY: POMYSŁ, OŁŚWEK, KARTON, NOŻYK, FARBA W SPRAYU ORAZ KAWĄTEK ŚCIANY.

POMYSŁ PRZENOSIMY OŁŚWIEKIEM NA KARTON. W TEN SPOŚB MAMY JUŻ PROJEKT!



DELIKATNIE NANOSIMY FARBĘ Z ODLEGŁOŚCI OKOŁO 15 CENTYMETRÓW
CORAZ LĘPIEJ BĘDZIE
SPRAYUJEMY UWAŻNIE.
CIESZYMY SIĘ Z NASZEJ SZTUKI

W NASTĘPNYM ODCINKU:



O T W A R T A B R A M A

B O Ź Y O B S Z A R P A N I E C

Dlaczego o nim zapomnieliśmy? Gdy jeszcze w okresie II Rzeczypospolitej, w okresie międzywojennym, przy jego grobie – na cmentarzu przy Lipowej w Lublinie – kończyły się manifestacje, dziś byśmy powiedzieli rewolucyjne. Młodzież składała tam wieńce. Robotnicy kończyli tam manifestacje 1-majowe. Na grobie księdza, który zmarł w Lublinie w 1890 roku. A jego pogrzeb był wtedy, w noc za-
borów, wielką manifestacją patriotyczną i narodową. Gdy patrzę na jego zdjęcie, prorocka postać z długą siwą brodą i włosami, myślę, jaki był. Skąd brał siłę? Chłopski przywódca, który za organizowanie ludności wiejskiej i dążenia do niepodległości Polski i uwłaszczenia chłopów, skazany został przez carat na wieloletnie zesłanie na Sybir. Piotr

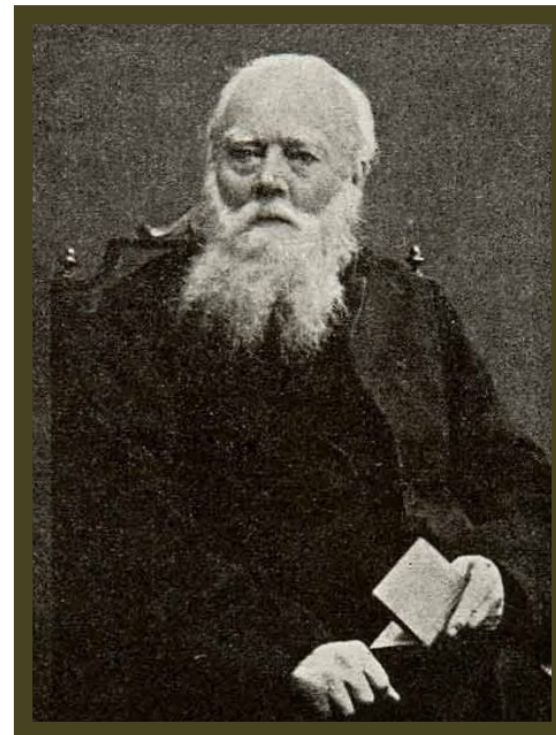
Ściegienny, bo o nim mowa, po powrocie z zesłania zamieszkał w Lublinie, gdzie został kapłanem szpitala bonifratrów. Mieszkał tam w jednym małym pokoju. Był działaczem chłopskim i socjalistycznym. Księdzem, który sam pochodząc ze wsi, dobrze rozumiał chłopów. Tak czytał Ewangelię, że w niej znajdował naukę do oporu przeciwko Moskalom a także do wyzwolenia chłopów z ucisku. Ktoś o nim powiedział, że był utopistą socjalistycznym, ale jak widać twardo stąpającym po ziemi. W 1843 roku aresztowany po próbie wzniecenia powstania chłopskiego. Skazany na Sybir, pozbawiony święceń kapłańskich. Po 25 latach z Syberii wrócił do Lublina. Dla miasta był symbolem „czerwonego” Lublina. A dziś zapomniany. Może warto wrócić do historii jego życia i przyjrzeć się bliżej poglądom, czy coś z nich nie jest przypadkiem i dziś jeszcze aktualne.

Kornel Ujejski tak pisał w swoim „Ustępie z powieści syberyjskiej”:

„Wygnanie nasze było apostołską Misją; tam gdzie ludzie stawali się lepsi I sercem czuśli i na duchu krzepśli Kędy my przeszli.
Raz siedząc przy oknie,
Puszczałem myśli po tem czarnem włóknie,
Które prząść umie więzień i wygnaniec –
A wtem idący jakiś obszarpaniec, (...)”

Może warto, abyśmy my, dzisiejsi mieszkańcy Lublina, odnaleźli grób tego „Bożego obszarpanca” i złożyli na nim, choć jedną różę. Tak symbolicznie.

Tomasz Dostatni OP



Piotr Ściegienny [domena publiczna]

SŁOWA SĄ WOLNE

Poezja jest dla ludzi, jest wolnością słów, jest słowem właściwie użytym – warto przy niej obstawać. Zwłaszcza dziś, w świecie słów na posyłki, słów udręczonych i ogłupiałych, warto słuchać wierszy, warto wsłuchiwać się w ich słowa: wolne, odważne, brzmiające mocno i czysto, konieczne – jak oddech.

Paweł Próchniak

Józef Czechowicz

Wulkan

Pod Paryż, Londyn, Warszawę
wwierca się ogniem podkop –
gaszą go salw kurzawy,
głuszą go szarże podków.

Z niezapisanych przyczyn
sztandary, pięście rosną,
pęcznieje, ogień syczy,
pachnie groźbą i wiosną!

Trzęsie już gruntem jak mina,
niejeden blednie parlament,
patrzac trwożnymi oczyma
na dymiące rany i szramy...

Pod ziemią dopiero kipi,
a jużeście, wielcy, ścierpli?
Poczekajcie... zakipi lepiej...
może w lipcu... może na sierpnie...

Przedruk za: Józef Czechowicz, *Pisma zebrane*,
t. 1: *Wiersze i poematy*, opracował Józef F. Fert,
Lublin 2012, s. 47.

WYDAWCA

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

POMYSŁODAWCA, KOORDYNATOR PROJEKTU
Tomasz Pietrasiewicz

REDAKTOR PROWADZĄCY
Małgorzata Domagała

REDAKCJA
Marcin Fedorowicz
Grzegorz Jędrak
Łukasz Kijak
Agnieszka Łąkocy-Sulej
Piotr Nazaruk
Maciej Pałka
Maciej Tuora
Wioletta Wejman
Joanna Zętar

STAŁA WSPÓŁPRACA
Tomasz Dostatni OP
Paweł Próchniak
Marcin Bieleśz

OPIEKA WYDAWNICZA
Agnieszka Wiśniewska

KOREKTA
Teresa Markowska

LAYOUT, SKŁAD, FOTOMONTAŻE
Małgorzata Rybicka

FOTOEDYCJA
Karol Grzywaczewski

DRUK
Petit S.K. Lublin

DYSTRYBUCJA
Magdalena Krasuska

NAKLAD 3000 egzemplarzy

Gazeta dostępna również
na stronie internetowej teatrnn.pl/para

KONTAKT Z REDAKCJĄ
e-mail: pa.ra@tnn.lublin.pl
ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin
tel.: 81 532 58 67



Drużyna Unii Lublin na boisku przy ul. Okopowej w 1939 r. [Zbiory Zbigniewa Miazgi]

JAK UNIA LUBLIN WYGRAŁA Z WISŁĄ KRAKÓW

SPORTOWA SENSACJA Z 1939 R.

Na miejskim stadionie przy ul. Okopowej grała drużyna Unii Lublin, której młodzieżowy zespół sprawił sensację na skalę całego kraju. Niesamowicie ambitnie grający młodzi piłkarze z Lublina dotarli do finału młodzieżowych mistrzostw Polski, gdzie ich przeciwnikiem był absolutny potentat i zdecydowany faworyt: Wisła Kraków. Wygrali!

Wisła Kraków była tak pewna siebie, że oczekiwała, iż Polski Związek Piłki Nożnej wyznaczy wygodne dla drużyny miejsce rozgrywania meczu, czyli Lwów. Ostatecznie jednak mecz o mistrzostwo Wisła – Unia rozegrano 4 czerwca 1939 roku na stadionie Wojska Polskiego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie, przed towarzyskim meczem pomiędzy Polską a Szwajcarią.

Wisła była dwukrotnym młodzieżowym mistrzem z piłkarzami mającymi za sobą debiut w seniorskiej ekipie grającej w ekstraklasie. Przy „wiślakach” piłkarze z Lublina, z doświadczeniem jedynie w regionalnych rozgrywkach, byli całkowicie anonimowi. Dla zawodników Unii występ na warszawskim stadionie, przy pełnych trybunach, przed meczem reprezentacji narodowej był życiowym osiągnięciem. Mecz zaczął się zgodnie z przewidywaniami, bo to Wisła strzeliła pierwszą bramkę i do przerwy prowadziła 1:0. To, co stało się po przerwie, mogło nie mieścić się w głowach kibicom na trybunach. Niespodziewanie Unia wyrównała po strzale

Skraińskiego. A potem, ak zrelacjonował autor jednego z artykułów prasowych, doszło do „sytuacji całkiem niespodziewanej, spowodowanej przez słabego sędziego Wiktora”. Arbiter odgwiżdżał rzut wolny dla Unii w polu karnym Wisły po bardzo rzadko wytykanym naruszeniu przepisów, bo stwierdził, że bramkarz z Krakowa Jerzy Jurowicz przebiegł z piłką więcej niż dozwolone pięć kroków! Rzut wolny w polu karnym był znakomitą okazją do strzelenia drugiej bramki, ale Unia ją zmarnowała. Wtedy sędzia, z sobie tylko znanych powodów, nakazał powtórzyć rzut wolny. I wtedy Rudnicki z Unii mocnym strzałem nie dał szans Jurowiczowi. Podłamanym bramkarz Wisły wkrótce puścił третią bramkę, którą strzałem z daleka zdobył Machaj. 3:1 dla Unii Lublin! Za chwilę lublinianie strzelają czwartą bramkę..., ale znów w głównej roli występuje sędzia Wiktor i nie uznaje jej – jak pisał dziennikarz obserwujący spotkanie, nie wiadomo dlaczego. Faworyci z Krakowa rzucili się jeszcze do walki, bramkę na 3:2 zdobył Obtulowicz, ale było już za późno i doszło do sensacji. Tytuł mistrza Polski pojechał do Lublina! A gdyby nie II wojna światowa być może seniorzy Unii awansowaliby do ówczesnej Ligi Piłkarskiej (była tylko jedna). W walce o awans 16 lipca 1939 r. wygrali pierwszy mecz z Junakiem Drohobycz, 3:2 w ulewnym deszczu na stadionie przy Okopowej. Ale rozgrywek już nie dokończono.

Marcin Bieleśz

